

PLACÓWKA

TYGODNIK WOJSKOWY, SPOŁECZNY, NAUKOWY I LITERACKI

Redakcja i Administracja: Lwów, Akademicka 3, II. p.
Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Dr. Kazimierz
Hartleb. — Godziny urzędowe Redakcji i Administr.
codz. od 9—12 i od 4—6. W niedz. i święta od 10—12.



Ceny ogłoszeń: Cała strona 320 Koron, $\frac{1}{2}$ str. 160 K.
 $\frac{1}{4}$ str. 80 K, $\frac{1}{8}$ str. 40 K, $\frac{1}{16}$ str. 30 K. — Ogło-
szenia w rubryce „Nadesłane” 1 Korona od wyrazu.
Prenumerata kwartalnie 12 K, pojedynczy numer 1.50 K.

KAZIMIERZ BUKOWSKI.

Hosanna!

Biją dzwony — — Hosanna! Spiżowa połęga
O mury świątyni głosem wieszczącym uderza!
Otwarta na ołtarzu leży ludów księga
I święci się cud boży świętego przymierza!

Wstał z martwych Pan! Jak gwiazda niebiosów zaranna
Błyszczący ogniem słońce złotych radość wszechistnienia!
Zgasł w mroku cień rozpacz! Hosanna! Hosanna!
Nadszedł oczekiwany prorok Wyzwolenia!

Ramiona w górę! Serca bijcie żywym tętnem!
Za nami twardej drogi zczeszły błędne ślady!
Bierzcie w dusze miód życia szczęściem bezpamiętnem
Wszakże wiosna rozkwieci białym kwiatem sady!

Rozdzwońcie się, o dzwony! Silniej, groźniej, dumniej!
Niechaj światu w twarz bije waszych snów zuchwałość!
Rozkołyszcie się w bezkres! Wyżej, głośnij, szumniej!
Niechaj jęk wasz spiżowy zgłuszy trwogi małość!

O wiosno! Zsyp na krwawe, mogilne zagony
Ziarno nowych odrodzeń, siew wielkiej przyszłości,
By świat, szaleństwem zemsty i zła upojony
Podał dłoń pojednania wzgardzonej miłości.

Hej sny, marzenia, szaty! Wszystko o was śpiewa!
Świat szeroki, daleki, jak bez brzegów morze!
Moc rośnie w żywym ciele i w krwi się przelewa
Huragan ducha twórcze w piersiach ściele łoża!

Dziś czy jutro? Jedno wszystkiemu na imię
Co rzuci w Byt przedwieczny chwila nienaganna,
Dzień idzie nowy, prawdy zwycięstwo olbrzymie,
Narodziny Wolności! Hosanna, Hosanna!

Lwów, w kwietniu 1919.



JAN RY SKI.

ALLELUJA!

Z listu do żołnierzyka.

Pamiętasz? Ostatnie twoje przypomnę ci beztroskie wakacje. Był to lipiec przed wielką wojną. Lipiec 1914. Bateś się o łacinę, z niemieckiem też jakiś nie było tego — mo — ale przecież poszło! Poduczyłeś się do promocji i... „musieli” ci dać dobrą notę, bo i coś ty był winien, że ci matka natura krewki dała temperament, że nad koniunktivę las wolałeś, łąkę, słońce, przyrodę! W zimie to jeszcze pół biedy: ślizgawka tylko, a potem wracałeś grzecznie do książki. I uczyłeś się już wieczorami pilnie, nje dlatego może, żeś obiecał twej mamusi — toć wiadoma rzecz, że przyrzeczenia „w tych sprawach” nie mają mocy zobowiązania honorowego — ale... z tego głównie powodu, by ci na drugi dzień nie zamknęto tyżew. Więc wynik nauki twej w zimie na ogół był niezły, może nie taki, jak tego „kujona” Adasia; tego „lizuna” Leona lub choćby tego sprytnego szachraja Lzydora — lecz przecież dodatni. Były noty przeciętne, ale, jak się wyrażałeś, sprawiedliwie zasłużone. Taką samą „pierwszą” przyniosłeś i w lecie. Cóż to w domu była za radość! Stałeś się bohaterem dnia. Bo i do cukierni poszedłeś na lody, i do teatru i

nowy sprawiono ci mundurek z naszytymi srebrnymi, jak gwiazdy lśniącymi trzema paskami. A największą już radością była dla ciebie, trzymana dotychczas w tajemnicy obietnica wyjazdu nad morze. To morze, które dla ciebie dźwiękiem było tylko bez znaczenia, słowem znanem z bajek tylko lub z tej nudnej geografii, to właśnie morze miałeś zobaczyć na jawie! Pamiętam naiwnie przez ciebie zadawane pytania o barwę morza, czy kryształowe ono, czy błyszcząca lawą, czy na dnie piasek widać, czy też niebo odbija się w niem roześmiane, czy częste są burze i jaka fal siła — ot zwykłe pytania dziecka, które ma stanąć przed jednym z cudów przyrody.

Aż nadszedł wreszcie oczekiwany z biciem serca dzień twego wyjazdu. Celem wyjazdu miała być miejscowość kąpielowa nad Morzem północnem. Zdziwił cię już w czasie podróży czar nowych zjawisk, nowego życia i nowych światów. I widziałem ciebie, gdyś po raz pierwszy stanął nad morzem. Szeroko twoje otworzyły się dziecięce oczy a czytałem w nich wtedy wszystkie twoje ówczesne myśli i wrażenia, jakby litery na białej wytłoczone karcie... Na łódź cię zabierałem z sobą, a gdyśmy dalej odpływali od brzegów, porównywałeś wcale zresztą udalnie fale morza z wypadkami życia, z światem, wśród którego jest się samotnym i żeglować po nim można tylko wtedy, gdy się ster i wiosła krzepko trzy-

STANISŁAW OBRZUD.

Ojciec i syn.

(Z cyklu „Sylwetki”).

Wybijał, jak wiotki kwiat na grzędzawisku, jak trzcina bambusowa na tłustej, brudnej, wodami, pokrytym zielonym kozuchem pleśni, podmokłej dżungli.

— Ojciec, okazały, barczysty „bel homme” w średnim wieku, naogładowszy się do syta z przodu i z oficyjny w wielkiem weneckiem zwierciadle i stwierdzwszy po raz niezliczony, że jest ciągle „wcale-wcale”, właczał nerwowo monokl w lewe oko, napotkawszy tego swego syna wzrostu żyrafiego, z wąziutkimi, płaskimi piersiami, długą szyjką, na której, jak główka maku, chwiała się mała, spiczasta głowa z poczwierwie na świat a jakby z lękiem patrzącymi oczami.

Nieraz radził się sławnego lekarza.

Lekarz rozkładał ręce:

— Żył się, szanowny panie... żyło... bezkarnie nie zarabia się na tytuł mangeur des coeurs!...

— Ależ panie profesorze! Proszę spojrzeć na mnie!...

— Tak... tak, wygląda pan dobrodziej, jak dąb — ale szastało się serduszkami, szastało —

kobietki — — aj te kobietki — — (tu profesor obliżał się bezwiednie), a szanowny pan wie, że o rasie i dzielności potomstwa decyduje jedna niedługa chwila — —

— Cynik z profesora! — —

— Człowiek rzemiosła, panie, rzemiosła! — —

Otoż, jeżeli w tej chwili było się znużonym, wy-czerpanym... na przykład po dobrej kolacyjce w chambre separee — to — —

Tak! tak... od takich drobiazgów zależy jakość ciała naszych potomków i duszy — hi — — hi — i duszy!

— Ale smaczne to są rzeczy... ha?! — ciągnął profesor jowialnie, kłapnąwszy gościa w kolano tłustą, wypieszczoną dłońią.

Zamyślili się obaj panowie, zapatrzili, uśmiechając się do tych swoich myśli i obrazów — —

— Sport w miarę, kobieciej raczej, czyste powietrze, odżywianie się „prima”, od pracy zdaleka; sen długi — — a jeszcze może będzie kruszył serduszką długowłosych stworzeń, jak sam papa dobrodziej! — Ot co!... zakończył profesor, patrząc nie bez ironii na gładko wygoloną i całkiem „correct” twarz starzejącego się bel-homme’a.

— Nawet tej satysfakcyi nie mam, myślał ojciec, zaglądając w oczy każdej ładniejszej kobiecie, spotka-

ma w dłoniach. Przeczuwałeś już wtedy, że siłę fal pokonać można tylko w trudzie i pocie czoła... I inne jeszcze pamiętam twe słowa, gdyś mówił, że cię coś rwie w dal owa niezmierna, gdzie się ogniem zionąca gwiazda słońca w chłodne zanurza fale mroza... Tam, gdzieś w dal, w zaświaty rwały się skrzydła twojej fantazji! I nie byłeś widzem biernym: mówiła ci niejako przyroda zaczarowanym swym językiem, przez jej wybrańców słyszany jedynie! Czuleś, że pyłem jesteś tylko, przechodniem, któremu znaczenia nadać może jedynie wynik jego dla drugich pracy, jego potomnym zostawiona puścizna...

I jeszcze jeden przypomnę ci szczegół. Gdyś nad kobiercem stanął z żywych haftowanym kwiatów, w środku którego srebrnolistne wystrzelały róże i gdyś w zachwycie nad tym rozkosznym dla oka stanął cudem natury, wykrzyknąłeś bezmyślnie może: „Ach, ci Niemcy! Jakże tu u nich na każdym kroku widać ich kulturę!” A w tejże samej chwili lichą ozwał się i wykoszlawiona przez brak użycia polszczyzną stary ogrodnik: „Toż to, paniczku, polska tu ziemia jeszcze od Chrobrego; nasza ziemia rodzi te kwiaty i nasz, kaszubski zlewa je pot i nasza w tem praca, a oni, Niemcy, tylko pieniądź swój tu włożyli, by setne zbierać procenta”. Głos tego Kaszuba, co na rdzennej pozornie niemieckiej ozwał się ziemi, głęboko wrył się wtedy w twoje serduszek. Możesz i po raz pierwszy pomyślał ówczas dłużej nad tem, żeś miał niegdys Ojczyznę wolną, i wielką. I rozumiałeś wtedy, że w niewoli praca naszego ludu i płodność naszej ziemi daje zyski obcym tylko, wrogom!

Aleś i długo nie mógł o tem myśleć. Bo oto nagle przyszło wypowiedzenie całego szeregu wojen, mobilizacya, powrót do kraju i powołanie ojca do służby wojskowej. A tymczasem ty z mamusią swoją tułać musieliście się na obczyźnie, znosić niemieckie szykany, cudze wycierać kąty: wojna na trud was skazała i poniewierkę. A po roku niespełna głód przyszedł i długie tu nieraz stać musiały godziny na deszczu lub nawet na śniegu, by dla twojej kochanej mamusi bochenek zdobyć chleba lub garść cukru. A potem cios straszny — padł ci twój ojciec, walcząc

w służbie znieprawionego zaborcy... I odtąd musiałeś pomagać swej matce lekcjami, musiałeś być jej opiekunem. Dojrzałeś wtedy, rozwinąłeś się, rozszerzyłeś swój światopogląd: z dziecka egoisty przedziergnałeś się w członka rodziny — swoje „ja” jednostki zmieniłeś na „ja” rodzinne. Kiedyś lepiej ci może obiaśni tę przemianę psychologia, ja prostymi zaznaczam to terminami. Zaznaczam tylko, żeś przekonania nabrał, że dla rodziny walczyć musisz i pracować, by być jej utrzymać, by jej nie widzieć nigdy w biedzie i niedostatku.

A stąd jeden już tylko krok był dla ciebie do jeszcze jednej zmiany, „ja” rodzinnego — na „ja” rodziny szerszej, rodziny narodu. Bo oto gdy nadszedł pamiętny dzień 1-go listopada, mimo żeś mamusi, na pierwszy zaraz apel komendy, chwyciłeś za karabin niewprawnymi dłońmi. Naukę strzelania na pozycji pobierałeś, kul skutków na własnej doświadczałeś skórze i poznawałeś je niestety w braci twych i przyjaciół zgonach. I twoje to bohaterskie dłonie, twój trud i poświęcenie, twój zapał niezmierny i rozmach, chorągiew z polskiego grodu zdarły ruską, by osadzić na ratuszu wiekowej wieżycy chorągiew jedynie mu należną, białą czerwoną, polską. A pamiętasz, jakieś to tłumaczył twej mamusi w cudnym dniu zwycięstwa żeś się bił o jej wolność i o wolność i wielkość owej innej twojej matki, Ojczyzny, która po wiekowym z grobu wstaje letargu, która Chrystusem była narodów i która po męczeństwie zmartwychwstać kiedyś musiała w Wielkiej Nocy.

I oto ta Wielka Noc nadeszła, godzina zmartwychwstania mija a ty z braćmi twymi i kolegami to święte spełnienie posłannictwo, że kamień grobowy Ojczyzny naszej odwalacie, rwiecie ostatnie jej więzy, z złości splecione i zawiści niskej j głupoty, którą Bóg tych oślepia, których chce ukarać. A że to właśnie i kościelne nadchodzi Wielkiej Nocy święto, przypomnij sobie owo miejsce z biblij, w którym uczniowie, dowiedziawszy się o zmartwychwstaniu Jezusa „Alleluja” wołali, „chwalcie Pana”. I ja tak wołam i Ojczyzna woła ku tobie: „Alleluja, chwal Pana!”

nej po drodze, że to nie mój syn!... Kością moja — zakamieniała cnotliwość i kocha mnie!!... Brr!..

Otrząsnął się „papa”, idąc elastycznie, błyszczący, świetny, mimo zmienionej już czterdziestki.

Zdzisio wystrzelał dalej w wyż, w cieplarnianej atmosferze, pielęgnowanej troskliwie przez kochającą matkę i stroskanego papę — zdala od jakiegokolwiek pracy i jakiegobądź rzetelnego wysiłku mięśni, czy ducha.

Tak „papo”, jak mama nie wiele mogli się zresztą oddawać chowaniu syna — „obowiązki” towarzyskie zbyt ich absorbowały.

Zakopane, Nizza, Cannes a nawet skwarny Egipt — oto zwyczajne miejsca pobytu Zdzisia, z domowym lekarzem i guwernerem.

Rósł jednak, żył, a nawet mężniał.

Wybuchła wielka wojna, Zdzisio miał już lat sześćnaście.

— Nie dostaną go! przenigdy! — mówił papo do zaufanego plenipotenty, pozwalając mu łaskawie domyślać się, że czyni to z pobudek narodowych.

Nawet zrobiło to papę popularnym w sferach patryotycznych sąsiadującego z dworem miasteczka.

— Nasz pan — — ho — ho! mówił patryotyczny poborca podatków i chorąży Sokoła.

Sam papo, jako oficer rezerwowy w ułanach, zgłosił się dobrowolnie do służby austriackiej.

— Trzeba i dyabłu zapalić świeczkę! — — Ma się coś... gotowi robić repressalia... Kazio, Zbigniew, Fredzio, prawie wszyscy z „towarzystwa” służą — — no i cesarz, staruszek czcigodny — — Nie wiadomo, co i jak będzie!..

— Ma kepele nasz dziedzic — chwalili z uznaniem odbiorcy okowity i inni mężowie, kupujący z papo.

Papo umieścił się zresztą na żmudnym i ważnym, ale oddalonym od frontu stanowisku komendanta wojskowych transportów benzyny i nafty.

— A kepele! — cmokali wiernicy papo!

Zaczęły się także i dostawy dla wojska z mocno obdużonych folwarków papo.

Posypały się orderzy, uznania i kasy ogniotrwałe wypełniały się.

Papo rósł.

— Rósł także Zdzisio u boku tkliwej, a mającej teraz czas na zajęcie się synem mamy.

Komisje poborowe wystawiały ośmnastoletniemu już chłopcu certyfikaty niezdolności do służby orężnej.

— Robi się, co można, mawiał, zacierając ręce papo.

Chłopak patrzył na to, co się w koło niego dzia-

Smucisz się? Nie cieszysz? Powiedz, dlaczego? Przerwałeś naukę, powiadasz, nie znasz przyszłości? Bądź spokojny! Jeśliś na pozycji miał siły trwać w ogniu i bez jedzenia nieraz przez tydzień cały, jeśliś tyle okazał silnej woli i hartu, że wszyscy ci wodzowie hołd jeno szczerzy składali, to dokończysz i napik, dasz im rady na pewno! A Ojczyzna wielka i wdzięczna z pewnością twoich dzielnych potrzebować będzie dłoni, twego zapалу, twego ofiarnego w duszy ognia. Więc nie bój się, nie zginiesz! Alleluja!

Smucisz się? Nie cieszysz? Powiedz, dlaczego? Ach prawda: padli twoi bracia, przyjaciele, koledzy... „Zginęli” — powiadasz. A ja ci na to powiem jeno, że się mylisz. Nie zginęli oni, lecz żyją. Bo wiedz, że przed przeszło już pół wiekiem wielki nasz jeden poeta o tych właśnie myśląc, co obok ciebie padali, te słowa pamiętne powiedział: „Kto w poświęceń zmarł godzinie, ten się w drugich przeżył tylko”; nie zginęli oni, ci twoi towarzysze broni, lecz w pamiętnej i wdzięcznej serc ludzkich mogile żywi będą rósć bez końca... A więc Alleluja! Niech oko twoje radością rozbłyśnie na myśl, że tak górne przynajmniej chwile przeżywać ci dano, jak przodkowie twoi — słowami poety — „całe niegdyś pędzili życie”, że jesteś z tych jednym, co ku jutrzeńce wybiegają swobody, za którą zbawienia świeci niezgaszone słońce. Chwal więc Pana — Alleluja!

Płyną po ziemi czarowne wiosny poszepty, w ślad za nimi przyjdzie lato, które jako trudów twych wysniony owoc postawi ci przed oczyma jawę Ojczyzny wielkiej i wolnej! Alleluja!

W kwietniu 1919.



ło i milczał. Patrzył wielkimi, błękitnemi, żarzącymi się dziwnie oczami. Ani matka, ani ojciec nje umieli czytać w tych oczach — nie nauczyło ich tego zresztą bujne, na zewnątrz obrócone życie.

Żyje, nie kaszle — wystarczało rodzicom.

...Majątek będzie miał książęcy — dorzucał z dumą papo.

Pewnej nocy listopadowej, kiedy wichur ujadła w zawody z kundysami podwórzowymi, migły się w odartej chłodem jesiennym alei kasztanowej dwa cienie, aby zczecznać w kruczy.

Nazajutrz lament i płacz był we dworze.

...Panicz znikł!..

Znikł także guwerner panicza — —

— — Kręciły się po wsi legionisty, takie w wysokich czworogrannych czapach — — musi z nimi nasz panicz — — mówił stary strzelec Stefan zasępionemu papie.

Szedł rok za rokiem, przewalała się wielka wojna po Polsce, krusząc ziemię i ludzi.

Posiwała z żalu i tęsknoty, wypłakała przed cudowną Bogarodzą czarne oczy pani Kościa z jasnego dworu.

— Żdzisio... jakby kamień w wodę wpadł.

Bel-homme nabrzękł, utył, wyłysiał, skronie i czub pokrył szron.

W wigilię Święta Zmartwychwstania.

Ach, snu, snu!

Siej nocy maki czarne

I zapomnienie siej.

W cichej samotni mej,

Gdziem został z duszą biedną

Białe śnieżyczki wędną,

Całe bogactwo me.

Czemu tak smutno tu?

Wszystko wydaje się złe,

Wszystko wydaje się marne.

Patrę jak biały kwiat

Sypie się płateczkami

I wsiąka w cień podłogi.

Choć mi niczego nie brak,

Czuję się znów ubogi

I cały pełny łat,

Zszywanych marzeniami,

Niby ostatni żebrak.

Może na chwilę zasnę,

Tylko ten ból...

Byłem ja niegdyś król.

Miałem siostrę Tęsknotę

Z rączką dobrą i białą,

Dnie od uśmiechów jasne

I jakieś oczy złote,

Co były moje własne.

— Syn, jakby kamień w wodę wpadł!

— Jedyńy — — dziedzic nazwiska i majątku! —

A skąpe dla spraw polskich biuletyny wojenne wspomniały raz, czy dwa razy o jakimś „Szponie”, sławnym zagończyku, w poleskich błotach.

Brukowiec ilustrowany dał nawet raz podobiznę jego.

— Młoda twarz, z wąsami i brodą, obca — i „Józef Szpon”.

— — Fi donc! — —

Omdlała opancerzona pięść — — narody wydostawały się z klatek na wolność.

Zbyt długo były na łańcuchu, aby stanąć obok siebie w mirze — — musiały tę wolność wydzierać sobie pazurami, zdobywać ciepłą krewią!..

— — Stanęła w ogniach prastara, przesława, wierna i niezawodna, jak Zawisza Czarny z Garbowa, fortalicja Rzeczypospolitej: Lwów.

Z całej Polski zbiegli się najszlachetniejsi — orły na obronę gniazda.

Towarzysz obok błękitnego arystokraty, uczony myśliciel obok nieumiejącego czytać dziecka ulicy.

Polska odnalazła swe serce we Lwowie.

Stanęły dzieci i kobiety — — zbyt wielu bowiem było obojętnych, zimnych, twardych — — —

Co się z tem wszystkiem stało?
 Piasek sypie się szary,
 Mara się wspomnień wyłania
 I cmentarzyska cień.
 Północ biją zegary,
 Zaczął się jakiś dzień
Święto Zmartwychwstania.

Wiem, ach wiem,
 Co wstaje z owym dniem.
 Coś niby kwiatów woń,
 Coś niby wiosny czar.
 Dzwon mi historyjo dzwoni!
 Płyną zastępy mar,
 Co po wiekowej kłótni
 Podały sobie dłoń,
 Aby Ojczyznę wskrzesić
 Z długiego snu,
 Cudne tęczę zawiesić
 Od chaty aż do chaty,
 Od dworu aż po dwór
 Przyszłym wiekom na wzór,
 Przed którym dusze klękną.
 O! jakżem znów bogaty
 Myśląc w nocnej godzinie
 O zmartwychwstania czynie,
 W którym moc była i piękno
 I miłowania żar.

Ach słońca, szczytów, błękitu!
 Niech mnie nie męczy już

Złocistych oczu czar.
 W oknach błądą twarz świtu
 I pierwszy raz
 Odurza wiosenna woń
 I pamięć mroczy.
 Czuję, jak miękka dłoń
 Kładzie się na me oczy,
 Zasypiam, zasypiam już
 Marząc o Polsce...

Henryk Zbierzchowski.

W poranek rezurekcyjny.

Późna ale nie obdarta z mroku mglistych wschodów słońca, szmaragdów młodej runi, wonnego wiewu czarnej ziemi — polska wiosna.

Wiosna — wiosna w Polsce. By tam gdzieś baranek mógł wśród rzerzuchy i majeranku dźwigać choraśnię na poślaczonym drzewcu, by można się było kieliszkiem trącić, dziewczuchy wodą oblać, by ten i ów mógł huknąć „Wesoły nam dziś dzień nastał” — Ty, żołnierzu młody, ty żywa wiosno — stoisz na posterunku. Za siebie i za drugich...

Błoto grząskie, wrony kraczą opętanie.
 W poranek rezurekcyjny patrzy czujka w pasemka mgiełek, co od lasu odrywają się i lecą nad kiełkującej szatą roślinności.

Ogarnia chłopca tęsknica, zмага go coś, wyrywa mu serce i dech, skrępowano mu gardło.

Aż zachnął się i zaklął.

Strzepał z siebie zadumę i niewładę, która płynie z wielkiego, utajonego, nieświadomego chcenia.

Tęsknota do życia, do trwania, zachwyt nad powstającym życiem. Dionizye bytu, święto kiełkowania — wiosna. Byt się rodzi nowy.

Uciekł do Lwowa, zostawiwszy „Koście pocziwą” na gospodarstwie, podtatusiał Bel-homme.

Uciekł i odżył tutaj.

Ryk dział, grzechot kulomiotów galwanizował go, jak bateria elektryczna znanego eskulapa, doradcy podtatusiałych lwów.

Zaciągnął się nawet do M. S. O. i paradytuje w jasnej świcie z własnym, angielskim karabinem światowej marki.

— Coś winno się krwi — — mawia w gronie „lepszych” obywateli z M. S. O.

Tęsknotę za synem zalęwa szampanem i przygódkami.

— Jeszcze jest niczego, a złoto daje tyle... tyle... Niedaleko od Lwowa bitwa.

Część wsi trzymają nasi... piechota i dwie maszyny, garść Leonidasów.

Od nasypu kolejowego, gęsto strzelając, posuwa się naprzód ruska tyraliera.

Gościniec, przecinający wieś wszerek, obsadzony już przez wraże watahy.

Ukryte za cerkwią działa wraże, wyją, dudnią, ryjąc, orząc, szarpiąc pociskami ziemię i ludzi.

Z rozwalonej karczmy ujadają czające się tam wraże kulomioty.

Rosną serca watah, prowadzonych przez doświadczonego niemieckiego majora.

Lachy! Lachy przekłete wpadły w matnię.

Hab' sie schon! — tryumfuje najemny żołdak.

A nasi topnieją, kruszą się — cofając się jednak w porządku.

Dwa kulomioty odszczekują zawzięcie.

Ciężko jest jednak.

— Bracia! — mówi młody dowódca oddziału — trzeba nam przebić się, lub zginać!

— Niech żyje Polska!! — —

Z bagnietem w rękę rusza wiara do ataku — — —

— Echo... czy cud? — —

Od stroy gościńca wrzawa, zamięszanie, strzały.

— Niech żyje Polska... donosi wiatr.

Stary, ostrzelany z wojną major niemiecki orjentuje się w lot.

— Pomoc — Verflucht noch a Mal!... Zurück! Zurück!...

Obsada gościńca przełamana, zepchnięta — popłoch ogarnia watahy.

Na rozhukanych koniach ściga je, rąbie, tchu im nie daje nasza kawaleria.

Bij! Zabij!...

Oczyszczona wieś z nieprzyjaciela, spracowani, czarni, zdyszani dowódcy podchodzą do siebie.

W pogoni za bytem chwytny żelazo w dłoń,
dla misteryum Bytu przywierają się usta do ust roz-
palonych.

Od pół leci niedostrzegalny, niedosłyszalny śpiew
nowego Bytu. Radość bierze, z upojnym tęsknieniem
spłataną.

Chłopce, w domu Twym, bez ciebie dzielić się
będą symbolem rodzącego się Jutra — jajkiem
święconem.

Tu w powietrzu świegocą nie symbole tylko że-
laza rzeczywistości, osy muchy kul świszcz czy
i szumią.

Takaś ty, wiosno Polski!

Po co o tem myśleć? Piąta wiosna z karabinem
w dłoni. Piąte Hosanna. Gdzie cię oglądała, żołnierzu,
Wielka Noc? Nad polską Nidą, na trzęsawicy Woły-
nia, na śnieżnych żlebach Alp, zagnanego w ucieczkę
przed pohańbieniem się.

Śpiewaj Hosanna! Dziś jesteś u proguchaty. Ten
pocisk, co śpiewa w powietrzu, może w dom Twój
mierzy...

Czy ci gdzieś w kąciuku oka nie zalaśniło coś,
nie zajaśniało brylantem?

Czy przez mgły, czy przez łzy widać coś...

A palba gra...

Widać pochód świetlny: ku Słonku idzie wy-
zwolona z oków Marzanna. Kore polska wyszła z pół-
torawiekowych podziemi i wzywa młodych i żywych.
Idzie Marzanna, ale bez śpiewów zniszczenia, bez za-
wodzeń Niji... Prowadzi młodych, strojnych w dębowe
liście Mocy.

To nie ta, która w dzień Zmartwychwstania zwy-
cięscem z pod Wielkich Dębów i Igań rzuciła zdo-
byczne działa i sztandary — na krótko, jak ongi, gdy
z ulic stolicy wyżeniła rękoma Kilińskich wroga. Nie
to prawdziwa idzie Bogini Zmartwychpowstania.

Na lewo, na prawo szrony czepiają się malutkich,
zeschłych trawek. Wrony kraczą i kraczą.

Po całej Polsce zato kroczy Kore, która wyszła
z podziemi. Pierwsze święta, w które o dzwony re-
zurekcyjne nie uderzamy łańcuchami niewolników —

— Dziękuję! Cześć!... W samą porę... podporucznik Rola — przedstawia się, wyciągając dłoń, piechur.

— Porucznik Józef Szpon! — witając się serdecznie, woła ułan.

Noc jasna, księżycowa, widno, jak na dłoni.

Ulicą... idzie oddział M. S. O. krokiem kara-
waniarskim. Na czele Bel-homme ze swoim sławnym
karabinem. Nad miastem, świszcząc, przelatują ukra-
ińskie pociski.

Z kamienicy trzypiętrowej, która drażniła zaene
M. S. O. graniem, tupotaniem nóg i śpiewaniem,
wypada na ulicę wesoła banda.

Oficerowie i „sikorki“.

Na czele basetla, dwie mandoliny, bębenek, czy-
nele.

— Kapelanty naprzód! Panie i panowie czwór-
kami —

Marsz! Marsz! — komenderuje młody, brodaty
porucznik ułanów, z dziewczą pod żeblem.

Zagrzmiała basetla, zabrzczały mandoliny, dźwię-
kły czynele, zawarczał bębenek.

Ruszyły czwórki młodym, elastycznym krokiem —
Raz — dwa!... Raz — dwa!; zabrzmiał w takt mu-
zyki i marszu hulaszcy mieszany chór:

Po co wspomnienia? Po co przypominasz sobie,
chłopcze, wiosnę, Wielkanoc na obczyźnie, w szpitalu
i tarninę, która białała przepychem kwiatu na nagiej
gałęzi.

Ty jesteś sam jak tarnina. Jeszcze rozłogi nasze
szare i czarne, jeszcze życie wąskie, marne, ruchy obli-
czone na rozpiętość kajdan — z przyzwyczajenia
Jeden tylko biały cud — oreżny huf nasz...

Tarnina — — tam przyłanczki schylają głowy —
bażki kołyszą się od wirów powietrza.

Bo gra powietrze od wystrzałów.

I czerwony kwiat...

Krew Twoja, chłopcze — — —

Maryusz Nowina.

ROMAN WOYNICZ.

TRADYCJA.

Tradycja... piękne to słowo, wprowadzie jakoś
nie bardzo uznawane przez postęp, jednak — — —
co jakiś czas unikać nie możemy pytań; — co,
skąd, jak to było, skąd poszło, — i tem głębiej
w przeszłość sięgamy, im rzecz jest poważniejsza,
im bardziej o coś nam chodzi.

A chodzi nam w danej chwili najbardziej o woj-
sko, o wojsko, ten miecz i tarczę narodu żywego
i żyć chcącego.

Znaliśmy mniej więcej tradycje pułków au-
stryackich czy innych, wiedzieliśmy czem sławni są
pawłogradzcy husarzy, czy finlandzcy strzelcy, czy
Wilhelma kirasyerzy pruscy. I wiedzieliśmy, co do-
kazywali Rodakowskiego ułani pod Custocą, jak
sprawowały się w ostatniej wojnie „trzynastka“ czy
„trzydziestka“, czy nowosądecka „dwudziestka“.

Szli w tych wszystkich pułkach, pod obcym
sztandarem nasi Krakowiacy czy Podhalanie i syno-
wie innych ziem polskich, i nasze stare, wypróbo-
wane męstwo, polska wojenna fantazja sławą okry-

— Patrzaj Maniu na mą biedę,

Jak z legionów boso idę! —

Hej radi-ridi, ram-tam, tam-tam

Ram-tam, tam-tam — hej!

Dudnią ciężkie buty żołnierskie, stukają korki trze-
wików kobiecych, wiara idzie z werwą, przytupując,
pohukując.

...Założyli herbaciarnię.

Niech się cała wiara garnie —

Hej radi-ridi, ram-tam, tam-tam

Ram-tam, tam-tam — hej!

— — Zgorszone M. S. O. podchodzi bliżej, Bel-
homme przybiera minę urzędową, pod samą latarnią
zeszli się twarzą w twarz: Bel-homme i Józef Szpon.

— — Bel-homme'owi upadł ze wzruszenia ka-
rabin.

— Żdzych?! — —

— Papo?! — —

Odnaleźli się we Lwowie — ojciec i syn.



wała i c. i k. austriackie pułki, i korpusy poznańskie i śląskie król.-pruskiej armii, i syberyjskie strzelkowe pułki.

Męstwo zawsze męstwem pozostanie, czy w tych, czy w tamtych okazane szeregach. Ale my nie potrzebujemy nawiązywać nici tradycji z obcemi wojskami. Mamy swoją. Znamy pułki polskie, co pod Napoleonem i Chłopickim w bój szły, powtarzają się znowu w naszej armii dzisiejszej nazwiska opromienione sławą z napoleońskich, czy 31-szego roku czasów, czy z walk 63-ego roku. A możemy jeszcze sięgnąć i dawniejszych czasów. I z pod Lignicy i Grunwaldu, z pod Kircholmu i Wiednia, z pod Połtawy i Dubienki wywieść nasz żołnierski rodowód.

Stanęli dzisiaj znowu przed nami spadkobiercy w prostej linii tamtych. Trzeba byś wiedział żołnierzu, co w danym pułku służysz, że nie jest to pułk nowy, nie jest to jakieś coś, co dopiero powstało, że pułk to jest, który tradycję walk krwawych ma za sobą, który lata już trwa, że pod jego sztandarem nie ty pierwszy idziesz, że utrzymać musisz jego sławę i nowych promieni jej dodać.

Tróchę to trudno w dziennikarskim, szkicowym artykule tradycję wszystkie polskiej armii zebrać. Książkę trzeba by o tem napisać, całe miesiące na zbieraniu materyałów strawić. A dodały teraz do historii dawnych pułków i pułki nowe dzisiejszych W. P., choć tak młode, litanie bitew i zwycięstw. Nie powstydzą się stare „regimenty liniowe” swych spadkobierców.

Czwartak jesteś, — więc pamiętaj, że Czwartacy..., no, przecież wiadomo, kto byli Czwartacy, pisać o nich rzecz darma, sławy im to nie przysporzy, ani nie ujmie. Ty tylko patrz, abyś się godnym ich okazał. A ty co w 1 pułku służysz, wiedz, że ród jego idzie z legionów Dąbrowskiego jeszcze, że nieśmiertelną sławę uzyskał I baon tego pułku w Hiszpanii 1809 r. w walkach z Portugalczykami i Anglikami, — że w 1831 r. ten pułk znowu „nad wszelką pochwałę” dzielnie stawał, jak w bitwie pod Lubartowem np. — A teraz ozłocił go swem nazwiskiem Piłsudski, pierwszy jego komendant. — A jeśli w 8 p. jesteś, to dowiedz się, że 8 pułk piechoty liniowej Księstwa Warszawskiego w wojnie moskiewskiej sławą się okrył, że w 31 r. z Czwartakami współzawodniczył, że na reducie pod Wołą przy generale Sowińskim właśnie kompanie 8 p. p. legły.

Najdawniejszą te pułki mają tradycję, bo za Napoleońskich czasów i Księstwa Warszawskiego armii nie wiele więcej pułków było. Zaczęto tworzyć nowe, jak 20 i 21 p. p. w 1831 r., ale nie wiele miały one czasu na zyskanie imienia. Dlatego też te szczęśliwe, bo najwięcej lat istnienia mające za sobą pułki, zaszczytną historią się chlubią. Wszystkie to jednak piechota polska, o której sądów pochlebnych swoich i obcych setki przytoczyć można. Unosi się nad nią major pruski Kuntz, — „na tegości polskiej piechoty zawsze polegać można” — mówi znów inny świadek współczesny, z powodu walki 3 i 4 p. p. pod Dobrem. W słynnej Olszynie, której broniła dywizja Żymirskiego pokotem kładła się szczególnie brygada Rolanda, 3 i 7 p. p. A 6 p. p. świetny bój na bagnety pod Białoleką stoczył. „Świetny” to zresztą przydomek 8-mego p. p. tak jak „Niezrównany” to zwykle 5-ty p. p. A nowe dzisiejsze pułki godnie stanęły już w tej wojnie, chlubnie zapisały nowe karty w historii swojej. Związał się „Pierwszy” z nazwiskiem komendanta

Piłsudskiego, 2 i 3 p. p. w Karpatach niezwykłą używały sławę, 4 p. p. pod Roja, a 6-ty pod Norwidem w ślady swych poprzedników poszły. „Piąty” zaś młodszy brat „Pierwszego”, który z brygady Piłsudskiego też wyrósł, na drugim miejscu po tamtym jedynie tylko dlatego stawiany, że drugim jest z kolei, przyćmił sławę swą dawniejszą walkami w latach ostatnich zdobytą, walką o Lwów, i na zawsze z historią tego miasta się związał.

O ułańskiej teraz tradycji... Ci są szczęśliwsi, bo o numery pułków mniej tu chodzi, samo „ułań” wystarczy, i Samosierry i Rokitny wizye przywoła. Godzi się jednak i ułańskich kilka pułków wspomnieć. Taki 1 p. ułanów naprzykład, z armii księstwa Warszawskiego, co pod Chłapowskim bił się pod Liwem, pod Wilnem, pod Lidą, — 2 pułk uł., 4 pułk uł., wszystko to pułki pierwszej klasy. Ciągną oni nie tradycję ułańską i przez obce wojska, bo co ułań, to typowo polski żołnierz, i zawsze do lancy ma aspiracye, czy w rosyjskiej, czy w austriackiej, czy w pruskiej armii. Szczęśliwsi też oni i w tem od piechoty.

Trzecim rodzajem broni — artylerya. I rzecz znamienna, — celowali w niej zawsze Polacy. W królewskich, dawnych czasach, generał Arciszewski imię tej broni rozślawił. Wytrwali w tradycji artylerzyści Kościuszki, poszli w ślady ich artylerzyści Legionu Dąbrowskiego, artylerzyści armii księcia Józefa, artylerzyści z 31-szego roku. A dzisiaj tradycję ojca Bema wskrzesił pułk. Brzoza, który pod Krzywopłotami z otwartej pozycji bił, mjr. Knoll-Kownacki, który świeżo na ulicach Przemyśla armaty zataczał, i który też we Lwowie dał się poznać. — Siegnijmy jeszcze raz do 1831 r. po charakterystyczne zdanie szefa sztabu armii rosyjskiej, generała Tolla, który rzekł, widząc zajeżdżającą na pozycję artylerję polską: „Messieurs, nous coucherons la”.

Gdyś już zdań tych kilka o tradycjach armii polskiej przeczytał, ty, który już jesteś żołnierzem, pomyśl i zastanów się, jakąś cegiełkę sam do sławy swego pułku dołożył. Pamiętaj, że każda noc poświęć na warcie spędzona, każdy patrol, każda w tyralierce dobrze wybrana pozycja, cegiełką tą być powinna. Pamiętaj o tem zawsze i nigdy nie zapominać.

JANINA MINASOWICZÓWNA.

W mglisty poranek.

W mglisty poranek, senny, zadumany
Cienie się snują i wloką bez końca,
Grają w powietrzu żałobne organy
W mglisty poranek bez światła i słońca...

W mglisty poranek — Chmury smętnie płyną
Rozchwiane, drżące niby żałobnice,
Myśli zmaczone bez oddźwięku giną
I smutek mroczy przygasłe źrenice....

W mglisty poranek — Cienie ludzi szare
Snują się trwożnie jakoby się kryły

I z swoich smutków zanoszą ofiarę
Pomiędzy krzyże i ciche mogiły

W mglisty poranek — Marsz żałobny płynie
W takt cienie kornie poległych się kłonią,
Akord w przestworzu już cichnie i ginie,
Rwąc się pod mniszą trzęsącą się dłońią

W mglisty poranek — W tę ciszę cmentarną
Płacz się rozlega i szlocha bez końca,
Mogiłę ciężkie skropiły łzy czarne
W mglisty poranek bez światła i słońca



MICHAŁ ROLLE.

Żołnierze-malarze.

I.

Nowoczesna wojna gromadzi w Kwaterach prasowych liczne zastępy ruchliwych publicystów i artystów-malarzy, którzy piórem, pędzlem i ołówkiem upamiętniają dla przyszłych badaczy wybitniejsze i charakterystyczniejsze jej momenty.

Dawniejsze wojny nie znały tyle potrzebnej, a nawet wprost niezbędnej instytucji, i o malarzach-żołnierzach też w dzisiejszym słowa znaczeniu nie może być w danym wypadku mowy. Natomiast historia malarstwa polskiego notuje nazwiska artystów, co w zmienionych warunkach zamieniali szablę na pędzel. Kilku z nich przypomnieć pragniemy pamięci współczesnych.

Wcale utalentowanym malarzem-amatorem był generał Karol Kniaziewicz. W sztuce malarskiej doskonalił się we Włoszech, w czasie pobytu swego w Legionach. Później niejednokrotnie umiała mu ona życie.

Toż samo powiedzieć również można o Tadeuszu Kościuszcze. Znajomość tajników rysunków ułatwiła przyszłemu Naczelnikowi Narodu wstęp do domu Sosnowskich, który miał się głęboko zapisać w jego żywocie.

Franciszek Ksawery Olexiński odbył nauki w Wilnie, potem zaciągnął się do wojska polskiego i otrzymał stopień porucznika gwardyi litewskiej. Bywając często na służbie w Zamku królewskim w Warszawie, zabawiał się w wolnych chwilach rysowaniem, skoro zaś to doszło do wiadomości takiego miłośnika sztuk, jakim był król Stanisław August, oddał go tenże na naukę do cenionego wysoko przez współczesnych Franciszka Smuglewicza. Z kolei kształcił się pod kierunkiem Lesseura w malowaniu królewskich miniatur, których Stanisław August tyle rozdawał rozmaitym osobom. W roku 1793, otrzymawszy uwolnienie z wojska, osiadł w Wilnie i trudnił się tamże dalej wykonywaniem portretów i miniatur wybitnych postaci, zwłaszcza z kół wojskowych. Umarł w Płocku 1826 r., mając lat 68.

Na ziemi litewskiej, w Grodnie, w dniu 19 września 1796 r. ujrzał światło dzienne Jan Suchodolski, jak go Kaz. Wł. Wojcicki nie bez sł-

szności nazywa, założyciel polskiej historycznej szkoły malarskiej.

W roku 1810 wszedł Suchodolski do Korpusu kadetów i inżynierów wojsk Księstwa Warszawskiego, gdzie też pobierał pierwsze początki rysunków odręcznych i topograficznych, nie przypuszczając z pewnością, iż kiedyś będzie musiał szablę zawiesić, jako drogocenną pamiątkę przeszłości, nad łóżkiem, a zasłynie natomiast wśród artystów polskich.

Ale cofnijmy się wstecz: w ciągu swej kariery wojs. poświęcał Suchodolski wolne chwile, jako amator, sztuce. Pędzel i paleta były najmiłszymi dlań towarzyszami. Od r. 1823 kopiował obrazy dawnej galerii Ossolińskich, przechodząc później do kompozycji oryginalnych.

Po zwinięciu armii polskiej w r. 1832, udał się do Rzymu na czteroletnie studia w pracowni Horacego Verneta. W tym też czasie wystąpił na wystawie z dwiema kompozycjami: „Śmierć Warneńczyka“ i „Obrona Wiednia 1683 r.“. Od tej chwili zyskiwał coraz większy rozgłos, służąc przykładem pokoleniom młodszych artystów. Umarł w Boimiu w roku 1875.

Malował bardzo wiele. Przeszło 500 prac jego pędzla notują biografowie Suchodolskiego; dziełnością z nich umieszczono w galeriach petersburskich, wiedeńskich i turyńskich. Wojcicki zalicza do najlepszych dzieła: „Obrona Częstochowy“, „Śmierć Stefana Czarnieckiego“, „Bitwa pod Raszynem“, „Przejście Berezyny“, „Walka Legionistów na San Domingo“ i „Jadwiga Królowa polska“.

W październiku 1838 roku zawitał do pracowni Suchodolskiego w Warszawie Józef Ignacy Kraszewski, by z kolei poświęcić jej i artyście obszerny artykuł, niezawodnie chętnie czytany przez wcale licznych prenumeratorów „Tygodnika petersburskiego“. Autor wyraża się w słowach bardzo pochlebnych o artyście-wojaku, którego „za granicą cenią“ a „w kraju u nas — o cudo! — w kraju nawet już chwalić zaczynają“.

O samym malarzu pisze Kraszewski: „Człowiek średniego wieku, błąd, coś wojskowego w twarzy i ruchu, wasy tępo lute, uśmiech smutny i spokojny, ułożenie ujmujące i miłe, ubiór poufały i wygodny, zaniedbany, twarz wcale nie cudzoziemską, owszem jeden z typów często u nas spotykanych...“

„Na kozłach stało wzięcie Achalcyku... I pejzaż i okoliczności tej nocnej bitwy, przyłożyły się do uczynienia tego obrazu jednym z najmocniej zajmujących dzieł artysty“.

„...Długo patrząc zdawało mi się jakbym słyszał wystrzały i krzyki i mimowolnie podniosłem oczy na malarza, który z fajeczką wojskową w ustach, spokojnie kończył wściekłego Turka, wspominając sobie może, że nie jednej podobnej walki był uczestnikiem i świadkiem. W tem zapewne jest tajemnica prawdziwości obrazu; któż lepiej odmaluje bitwę, nad tego, który był w niej? Wzięcie Achalcyku zachwyciło mnie!“

Z kolei opisuje Kraszewski obrazy: „Bitwa pod Grunwaldem“, „Spotkanie Jana III. z Leopoldem pod Wiedniem“, dodając, że „oklepany ten przedmiot stał się nowym pod pędzlem“ Suchodolskiego; szkice przedstawiające wnętrza pracowni Verneta i całe tuziny innych, częstokroć ledwie podmalowanych, zawsze pełnych życia. Specjalną jego uwagę zwrócił tu Arab, pędzący na koniu z głową zabitego nieprzyjaciela, bladą i skrwawioną. „W tym rysunku był cały poemat i ze dwa romanse. A je-

dnak, na ostatniej wystawie, jak słyszałem, tłum nie pojął tego szkicu piękności, i niektórzy go jak grzech artyście wyrzucali. — Wielcy znawcy zaiste! — Wykrzyknik ten znakomitego pisarza i dzisiaj bynajmniej nie rzadko wyrzywa się na usta.

Opisawszy obszerniej obraz, przedstawiający Napoleona na górze św. Bernarda, o którym wyraża się z ogromnem uznaniem, przeszedł Kraszewski do drugiego pokoju, aby tam „spojrzeć w oczy dwom cudownym Arabom, lecącym przez pustynię; jeden mianowicie za którym powiewa palma, przed którym świecą kości zasypanej karawany, uderzył (mnie) poetyczną koncepcją i prostotą swoją. Lecz to wszystko potrzeba widzieć, nie czytać — pióro bardzo jest zimne, gdy walczy z pendzlem“...

Powtórzyliśmy w najzwęższych urywkach znamiennejsze ustępy obszernego artykułu, który stwierdza raz jeszcze, jakie imię posiadał Suchodolski.

Współczesna mu prasa polska zajmowała się bardzo żywo „jenialnym“ artystą-żołnierzem. Pod tym względem nie dały się zdystansować i lwowskie „Rozmaitości“ (1837), na których szpaltach znajdujemy kilka notatek bardzo pochlebnych, poświęconych Suchodolskiemu. Pierwsza z nich informuje czytelników, że artysta powrócił po kilkuletnim pobycie pod włoskim niebem, do Warszawy, przywożąc z sobą sporo cenniejszych prac „sprawiedliwie okrywanych pochwałami“.

Podług notatki drugiej, nadesłanej z Warszawy (1840): „Pan Suchodolski, jeniały polski malarz bitew, prace swoje na rozkaz cesarza wykonane, sam w Petersburgu oddał i zadowolenie wszystkich znawców kunsztu, nawet samego monarchy, w tym stopniu sobie zjednał, że natychmiast wykonanie wielkiego obrazu, przedstawiającego bitwę pod Ostrołką, mu polecono. Artysta, jakkolwiek tem zleceniem cesarza swego zaszczycony, odpowiedział wszelako, że sam w tej bitwie walczył i dwóch ukochanych braci w niej utracił, że więc błaga cesarza, aby mu wybaczyć raczył, jeżeli dzieła tego podjąć się nie może. Cesarz szanując uczucie mistrza, oświadczył, iż go nietylko od tej roboty uwalnia, lecz mu też do wyboru zostawia trzy inne obrazy z bitew z wojny perskiej albo tureckiej, zamiast dawniej żadanego dzieła wykonać. Suchodolski z tem życzeniem tymi dniami tu (t. j. do Warszawy) powrócił“.

Artysta musiał też niebawem zabrać się do pracy, skoro już najbliższa notatka, tym razem petersburska, głosi, że na wystawie w Akademii sztuk pięknych nad Nową znajdują się trzy dzieła pendzla Suchodolskiego: „Przejście wojska francuskiego przez górę św. Bernarda“, „Szturm Achalcyku“ i „Spalenie tureckiej fregaty“.

Stanisław Lachowicz, opisując w „Tygodniku petersburskim“ wrażenie, jakie na nim te obrazy uczyniły, kończy swój zajmujący artykuł uwagą: „W ogólności znawcy podziwiają w Suchodolskim bogatą wyobraźnię, wielką siłę kompozycji, oryginalność w rozkładzie pomysłu, nienaśladowaną sztukę grupowania, artystowskie wykończenie i ożywienie przedmiotu“.

Równie pochlebne zdanie wyraził o naszym artyście Romuald Podbereski, uważany w swoim czasie za powagę na polu znawstwa sztuki. Chwalił go i Michał Grabowski, z którego sądem rachowano się powszechnie. Dzisiejsza ocena odbiega natomiast bardzo daleko od owych zachwytów, a prof.

dr. Jerzy hr. Mycielski odsądza artystyczną puściźną Suchodolskiego od wszelkiej wartości.

Czy rozdzwięk taki jest zupełnie uzasadniony — rozstrzygać nie naszą rzeczą.

Rozdzieleni...

Gdy zasiądziemy do żołnierskiego święconego, czy na ławach koszar, czy w ziemiankach, myśli nasze polecą jak ptactwo na wyraj, do tych, którzy są od nas oddzieleni. Do domów rodzinnych, do kolegów, którzy w innych okopach trwają...

Od półtora wieku taki to polskilos, żeśmy rozdzieleni.

Dawniej, gdyśmy się kupili koło stołu, na którym pachniały kołaczki święcone, myśl nasza ulatywała do tych, którzy są od nas oderwani. Do emigrantów, którzy woleli własny rzucić próg, by na nim nie dzwonić okowami, ku przykutym do taczki katorznej. Los Helotów.

Przyszły gorsze dni rozłąki.

Rozsypała się polska młodzież po świecie. Każdy z tych, co ostał się przy ojcowskiej niwie miał kogoś, kto myślał o nim, czy w rowach strzeleckich w Albanii, czy pod Verdun, w Rumunii czy też aż w Azji... A inni, potępieńczym wiatrem gnani, czekali na lepsze nowiny, karząc na bruku niemieckich czy rosyjskich miast.

Dziś, gdy przy życzeniach wielkanocnych, życzyć będziemy sobie pierwszy raz nie wolnej Ojczyzny, ale silnej, ilu z nas losy oddzieliły od święta Zmartwychwstania Ojczyzny. Ilu jeszcze wegetuje poza „liniami demarkacyjnymi“ — niemiecką, czeską, ilu tęskni do nas „po tamtej stronie frontu“, żyjąc z dnia na dzień pod nożem współczesnych Mongołów.

Ale my żołnierze z największym smutkiem widzimy, ilu z naszej wiary jest tak bezlitośnie od pnia ojczystego oderwanych.

My wszyscy tu w Rzeczypospolitej gromadzimy się duchem, by wołać: Alleluja!

A gdzie w Polsce wy, ofiarnicy za cudzą sprawę z pod Arras, gdzie wy, włoscy legiości, gdzie żołnierze z Murmanii, z Syberii i z nad Czarnego morza, gdzie jeszcze całe tysiące, skazane na pobyt w obozie jeńców?

Pół roku dobiega, gdy Polska stanęła w rzędzie państw niepodległych i tylu, tylu dzieci swych najlepszych do łona przycisnąć nie może?

Macie bezczynnie siedzieć, lub co gorsza, w krwawy wawrzyn stroić obcą skroń?

Rozdzieleni jesteście...

Przeto wśród bicia dzwonów w Wielką noc niech jedna gra nuta najpotężniej.

Nie dzielmy się my sami, tu, nie rozsławiamy się.

Trzeba zakasać rękawy do wiosennej pracy, do usunięcia wszystkich rozdziałów.

Czyż możemy powiedzieć, że całkiem już odwalony głaz grobowy?

Maryusz Nowina.

JÓZEF MIRSKI.

Pieśń o Wiośnie.

Za wsią u rozdroża stał dąb leciwy. Pniem mocarnym, okutym kolczugą popekanej kory i rozłożystą bujnią konarów uniósł się w górę; dokoła niego

legły nieskończone ziemie piastowe, nędzą i zbożem obsiane, a nad nim rozpostarły się niebiosy, utwierdzone na kręconych słupach chmurnych. Chciwemi wargi w głąb wzrosłych korzeni ssą z łona czarnej ziemi soki swej mocy, — płucami listowia wdychał w pierś dech przestworu i żar słoneczny. Burze zamieciały deszczów wien walały, grad siekł i ciął knutem, w żarach i mrozach kora pękała. — On stał cierpliwie, w głuchym pomroku; jeno gdy pioruny wiosenne dały gęstwę nocy, to z czarnej gąszczy jego listowia wybłyskiwać się zdawało rozelśnione lico Boga — Perkuna w otoczu rozkudłanych włosów: straszne, groźne, rozniewane...

U dróg rozstaju stał on dąb, kolejną lat nawrotną nieśmiertelnie się odradzający, — zda się wieczny, jak ziemia, słońce. Szły pokolenia ludzkie po sobie na pastwę i żer czasu, — mijały jak przelotne ciągi zórawiane, — płynęły jak nurt i ginęły w morzu nicości — znikome, marne... Śmierć nizała je na nieskończony różaniec wieczności...

On jeden zdał się potędze jej uragać.

Wiosna była... Wilgnetem ciepłem dyszała ziemia... Słońce roztopiało ostatnie łachy śnieżne, przyległe do zapadłych uboczy wzgórz, do chłodnych i mrocznych wywierzyisk, to znów przykucnięte w gąszczach i jarach, jak stwory o białej sierci, łapami zaryte w podłoże... Bóg złotolicy owiewał tchem rodnym przestwór, całą pierś kładł się na ziemię skostniałą i zaskrzepłą w niej budził moce żywne, że się w niej — potężnym odzewem ze snu i martwicy dobyte — rozbiegły tajemnymi prądami, robotę ładując rodzącą...

Szły przestrzenią powietrzną jakieś wielkie pędy, mocne i ożywcze, tem jeno widne, że tajnym dreszczem drżały drzewa w borze, we wierchołkach się kolebiąc... Jakieś nad ziemią wiodły się wonie surowe, oszałamiające ostrym dudem, blekotne dzikim zapachem... Oparzeliska i dymy snuły się nisko przy ziemi, w rozwlekłych leniwych mgłach rozpięte.

Pruła się w szwach przegnita szata ziemi w nową odzież się strojąc...

Z za gór i lasów szły złociste, mocarne, skrzydlate Anioły — Krzesiciiele, w surmy mosiężne grające i obwołując światu życie...

Wicher gnał przed nimi...

„Wiosna!!“ —

W rodnym głębinach, do których schodziły dębowe korzenie, ocknęły się moce macierzyste, prawieczne; — żywe, nieśmiertelne nurty przewalać się poczęły przez żyły potężnego cielska drzewnego; spragnione jasnych cudów słońca podziemne moce sprężyły się w nim, wyrzucając się na zewnątrz w soczystych pękach i wytwarzały sobie oczy i płuca w rozbujającym rychło listowiu... Dumna, nieokiełznana radość życia, odwieczna zmartwychwstająca tęsknota ziemi za słońcem, nocy za dniem tchnęła nową duszę w olbrzyma...

Z dusznej, zatęchłej chaty wyszedł na słońce człowiek — chłop; zwłóknął się z barłoga ciężko i szklanem okiem patrzył w świat jasny; spał dotąd duch jego w tępej, zimowej martwicy; aż wiosna odemkła dźwirza zaparte i strugą ciepłego światła roztopiła zamaryły mrok; bezkształtne zmary, nuda i smęt pierzchyły w noc, przepadły w podziemie...

Jedno Słońce światowidne brało w swe dobre władztwo wsze stworzenie; rozśpiewała się ziemia głosem ptaków na powietrzu i w lasach...

Huczał żywioł wody, rozkuty z kajdan, — wezbrał śniegami szczytów, parł kry, szumił, o brzegi bił, — głązy przed się miotał — prenił się — z łozyska wylewał — szalony, dziki, prapotęźny Żywioł, rodzic tworów, brat słońca...

Z za gór szły burze... Na nieobjętym przestworu rozniósł się wichry młode, przegonne, — wzburyły ogromne przestrzenie powietrzne, — a już hen z dal sinych toczyły się cielska chmur, kryjących w tonie święty ogień, dziewiczą skrę Piorunu...

A dąb drżał z rozkoszy...

Był zaś w dębie owym wnek pusty, dziupla. — Wiatr dobroczynny naniósł w nią warstewkę czarnej ziemi, co rokrocznie na wiosnę puszczała kielki traw i runia mchu się zieleniła. I tak tam powstała jakby grota — kapliczka zaciszna, mroczna, rozbłyskująca tęczami ros, ile razy w wnętrzu jej padł zbłąkany promień słońca.

W wnętrzu tym ustawiła przed laty ręka niewiadomego chłopca — artysty figurynkę Świętego.

Postać, kozikiem snąc nieudolnie z drewnianka wyrzeźbiona, świeczyła o równie naiwnej, jak żarliwej wyobraźni rzeźbiarza.

Święty, przyodziany w długą, fałdzistą szatkę i tyarę trójrożną, siedział na stole; w jednej ręce wzniesionej dźwżył krzyż, druga spoczywała na kolanach. Twarz długa i ściągła wyrażała ascetyczną zadumę i powagę świętą.

Zdumionemi, martwemi oczyma spoglądał Święty z kapliczki dębowej na oną wielką przemiare, dokonywającą się w naturze, — słuchał onych dziwnych szelestów, płynących ku niemu z pól, — z lasów... i tajemniczych głosów, jakie się od onej zbożnej i pilnej pracy wewnętrznej w dębie podówczas czyniły; czuciem wysłuchał a niedoszczętnie jeszcze zmartwiałego drewnianka czuł ciche, wnikliwie dreszcze; — jak w ulu granie pszczoł, — jak w starym omszałym chramie niewidne fletnie srebrne, — jak wiatrem muskane złote struny skrzypcezek lipowych — dźwięczała wokół niego cicha, skrzętna, rozedrgana muzyka. —

To dąb tak grał i śpiewał — w sobie...

Świątek głęboko się zadumał; w jego piersi zbudziły się dalekie, — hej! dalekie wspomnienia... Rozbłyskały w nim jak te iskielki, na chwilę — i gasły... Nie może ich zgonić... Było to kiedyś... gdzieś... Już nie pomnie...

Z utrapień cierpiącej duszy człowieczej był powstał... Męka i strach dały mu życie i kształt... Ból, rozpacz, tęsknota, świadomość grzechu, kajanie się, wołanie o łaskę i odpust — to całe piekło chłopskiej jaźni — złożyły się na byt jego... To wszystko — to on sam, Święty..., to treść jego i żywot jedyny — i nic w nim nie było pozatem...

Oto stoi w tym wnętrzu dębowym wobec bezmiaru twórczych potęg i mówi ziemi, niebu, słońcu i wszem żywiołom:

„Jam jest grzech... Niech będzie przeklętem życie!“...

I jeszcze: „Śmierć ciała — ducha żywotem... Świątynią łaski — męka...“

A teraz zasmucił się...

Jakaś w nim nuta zadrgała, współdźwięczna z tą muzyką dębu wiosenną...

Jedno w nim widać żyło jeszcze włókienko dawne, nieuschłe w drewnianem ciełe.

Zagrało...

W noc cichą, miesięczną rozśpiewała się w nim owa nuta tęskniąca...

... „O hej! byłem ja ongi drzewem zielonem,
zielonem drzewem w boru...

Las — ojciec tulił i pieśnią hołubił szumną...

Ziemia — macierz mlekiem żywota poita...

Grał wicher we mnie a słońce gieźło z listo-
rانیć tkąło...

O hej! kochałem ci — ja słońce i gwiazdy na-
demną w pogodne noce płonące...

O szczyt mój chmury się strzepiły, ... jastrząb
siadał w przelocie... —

Usłyszał pieśń żalącą Dąb.

„Smętno ci — pyta — w kapliczce mojej? Dzi-
wna noc... parna... Deszcz spadnie płuźny... Pewnie
się jutro listki wysypią zielone... O hej! czy nie do-
słyszę od onych szumów we mnie gwarliwych? czy
się po prawdzie żalisz, Świętaszku?“

„Tęsknota we mnie wskrzesła — rzecze Świą-
tek — Drzewem ja byłem z lasu onego, drzewem zie-
lonem... Pomnę... noc była taka, jako dziś — wio-
senna... Do lasu chłop wszedł... rozpacz go gnała
jędza... żonę był usieknął, żonę wiarołomną... Dzieciska
usieknął siekierą... Sądu się bał... zbrodnia i grzech
go gnały... Do lasu uciekł, co zbrodni nie zna ni
grzechu... Po boru tłukł się chłop on noc całą...
śpiewał i kłął i płakał, opętaniec... A kiedy świt zró-
żowił wierzchy drzew, pod pniem mym stanął, sznur
u gałęzi zawiązał, pętlę nagodził i — zawisł — trup
siny...

Ludzie naleźli go zrana... wzięli, pogrzeźli, —
potem zaś drwale pień mój ścięli, że go pohańbił
trup...

O pniu mój! pniu mój rodzimy!

Legła gałąź odcięta — zapomniana przez ludzi...
Usychała w spiekocie i na deszczu mokła, aż ją zna-
lazł chłop, w którym stała moc boża... Ten ją po-
dniósł i kształt mój wyrzezał i tchnął duszę w nią
swoją — bogotrwożną i świętą... Uświęconym tą męką
a tęskniący tęsknotą, co tej nocy i pień mój własny
wspomniła; żywot i las stary, ojczysty i tę radość
wiosenną, co tak gra w tobie, dębie, wyniosły ty,
krzepki mocarzu!...

„Doli twojej mi luto — wtórzy dąb... Zaśpie-
wałeś pieśń dziwną, ni to krasa ptak cudzoziemiec...
Zaśpiewałeś pieśń naszą... Czar cię leśny dziś poj-
mał... czasem żyjesz tej nocy... Powstań!! — Gwia-
zdy błędną już, gasną... Z za mórz wraca Rodzie
nasz, Słońce, — Płomienny, złoty Bóg!

Wynijdź, czarem żyjący!! Krasopani cię — Ży-
wia uskrzydli! Wytruń ptaku więziony na mój szczyt
wyniosły i witaj słońca cud!... —

Świt się już jarzył na wschodzie. Rozlało się morze
różanych fał. Ruchliwe światła języki ślizgały się,
węże płomienne po spurpurzonej połaci nieba. Mieniła
się stubarwna zamieć ogników żywych... W oddali
płonęły góry... Jedna potężna łuna wieściła świata
nadejście słońca. —

Zaszeleściły wiotkie, dziecięce listki u drzew,
zdjęte urokiem świtu...

Zamilkł dąb.

Powstał Świątek... W drewniku ocknął się
duch...

Czar nocy wiosennej obudził zaklętą w nim du-
szę, — z sztywnej go rozdział martwoty... Stanął
u progu kapliczki...

Jakaś go moc uskrzydla... w górę go niesie —
wzwyż — — na szczyt dębowy...

Już nie wie nic, czem był...

Las gra — o hej!
w lesie szaleje chłop! —
rozpacz go gna —
w chłopskiej duszy oszalał ból —
śmierć śpiewa w lesie — —

— — — Słońce!!! Słońce!!!...

Wzeszło arcykrólewskie, — żywotwórcze —
[zwycięskie!]

Ziemia stęgła na chwilę...

Świątek na szczyt dębowym st ął, wpa-
trzone w Wieczny, Żywy Ogień i — — błogosławił...

A gdy ostatni pył nocy w nicość się rozwiął,
skonął zarazem nocy czar i nikły Świątek żywot
zgaśł, jak skra...

Sztynna lalka znów zmartwiała... A kiedy ranny
powiał wiew, ze szczytu dębu stoczyła się sucha, dre-
wniana kukielka, padając w drożny pył...

Wedrowny dziadek, drogą idący, podniósł lito-
śnie — rozłupane członeczki...

EDWARD WALEWSKI.

Na wedecie.

Ot, — zwykła placówka! — — Dokoła szarość
pusta, rozległa i cicha. Noc mglista płachtę ciemną
rozpięta nad pól rozłogami, cementarzyk stary, w nim
krzyże zgarbione, w kaptury śnieżne strojne i drzewa
nagie, skostniałe, wciąż nieme.

Znużonym, próżno klejącym się wzrokiem dal
senną mierzę, nadstawiam bacznie uszu. Chcę wgłę-
bić się mózgiem w noc tę obumarłą, wyczuć jej ży-
cie, wydrzeć tajemnicę...

Gdzieś w dali, jak rechot żab potwornych, cie-
mnością okrytych, rywa się na krótko szybkim, su-
chym rytmem szczękający chrobot. To wraże kulo-
mioty bestyalską, zgiełkliwą fanfara grają kołomyjkę.
Czasem rakietą, wyrzucona w górę, seledynowym,
drżącym blaskiem rozścieli się na śniegu, a noc, jak
wielki, żarłoczny pajak, wnet spiya chciwie jej światło.

Wyteżam słuch wciąż czujnie. Z szyderczym,
drwiącym chichotem przeciągle gwizdnie zbłąkana tu
kula i niby upiór zaginie w przestrzeni. Pozatem ci-
sza... Bezwładna senność układał się ciężko na ziemi,
tuli się do niej piersią i drzemie.

Cisza... głęboka cisza...

Marzenie dziwne, stargane kołysać jęto myśl
przemęczoną. Na zwarte milczeniem usta bezwiednym
spływa szeptem, coś z duszy wysysa, i snuje i dławi...

Dreszcz nagły szorstką falą obiega wkrąg ciało,
pełza do skroni, krwi uderza tętnem i gardło cieśni,
dusi je pięścią bólu, tohu spazmem wezbranym. O jak-
że silnie pulsują mi skronie! A przedemną zjawą,
utracona zjawą... słońce nie zgaśnie... kochanie...

I wzruszone wargi szepcą urywanie, wśród pustki
pól i cienia, tęsknoty korne, modlitewne słowa, mi-
łowania podźwięk i skargi...

— — — „Pod stopy twoje rzucam kwiaty...
Rozkwitłych róż szkarłat żywy ściele się miękko na
nóg szaty, przyjm pocałunek róż pieściwy!... Pod
stopy twoje rzucam kwiaty — — Konwalje, jaszmin
i bławaty, kielichy cudnych lilij białe, niby motyli róż

skrzydlaty, spływają senne, odurzające na jedwabiste, na makaty — —

O, Boże, Boże! Skąd to wspomnienie? Skąd wiersz ten mi w głowie zadźwięczał nutą rozżalenia? — —

— — — Narcyzów wiotkich aromaty sączą się słodkie woniejące, przez szyb okiennych białe kraty ku Tobie promień zsyła słońce, jutrzeńki zajął brzask bogaty — —

I niedaleka, łzawa przeszłość zaczęła krwawić się przedemną.

— — — — —

Zocha!! — —

Prześliczne imię! A jej było — Zocha! —

W domu ją psuto,ieszczono, całowano i nazywano Zochą, Zosieczką, Zochną...; mnie po dniach całych w piersiach i głowie huczało: Zocha moja, Zocha, słodka, cudna Zocha! — —

Ileż bo czaru mieści się w tem imieniu, ileż bo czaru ona posiadała!

Błękit słonecznej czołwy zdał pieścić się jej oczy, że jako dwa czyste, zakłute jeziora były promiennem światłem wezbrane i ciepłem. Głębokie, a jasne, zdążyły się harmonią subtelną szlachetnego piękna i pewnej zadumy, tęsknoty, a bodaj — i smutku.

Bo Zocha smutną była i myślącą. Niekiedy tylko w jej słodczy pełnych oczętach zaigrał na moment przedziwny wdzięk nadąsania, zcałował cichym, łagodnym uśmiechem świeże, jak by brzoskwiń wonnych puchem ozdobne, usteczka zróżowił czarodziejsko białe skronie i jak spłoszony świtem wiew wczesnego ranka, omdlały krył się między rzęs jedwabnych cienie.

Hej, pomnę żywo te oczy jej kochane, ich miękkość przejrzystą, jakby zalęknioną, półpodziw czy rozmarzenie — — Pomnę ja, widzę ich cichą, nieodgadnioną zda się tajemnicę, ich pytające źrenice przy-mrozenie...

Zochu, moja Zochu, droga, śniona Zochu, czemuś mnie odeszła!? — czemu — —

Na fortepianie raz grała.

Poprzez otwarte naściężaj okna stało się miękka niewidzialną falą łuk zwilgłych tchnienie i kwiatów wonność senna i lasów dalekich śpiewanie.

Była to chwila rozstania. Tak ciężka, tłocząca grozą prawdy i przewidzianej tęsknoty, że pierś z wysiłkiem dech chwytała świeży, stłoczona i omdlała.

A Zocha grała. Z pod drobnych jej, błakających się po klawiaturze dłoni płynęło dziwne starganie się harmonijnych dźwięków, coś co zdało brzmieć się jakąś beznadzieją, jak płacz tłumiony w krtani, jak współzdużone męką rozetkanie. Ot, trwożna symfonia zadumy i bólu.

— — — — —

Na jutro niepewne jechałem. Na jutro zmagani się i walki. Głos wielki, głos od dziecięctwa utęskniony, nakazem cichym, a przemożnym, do powinności wzywa, do obrony. Radosna chwila, a taka zarazem brzemienna cichym niepokojem, tak pełna pytań niedopowiedzianych, lęklwych, tajonych...

Czar nieprzebrany motywu Schumana rozkłębiał się skargą długo hamowaną, siał dźwięków łyż perliste i budził niemy dreszcz wzruszenia.

Patrzałem na nią. Płakała. Ona! ona, Zocha moja płakała... Coś przeży się, burzy w piersiach, skowytem łkać by chciało, nieogarnionym krzykiem niemocy i żalu.

I nagle rozlewa się w duszy gorące, dziwne uwielbienie i wdzięczność żywa i taka tkliwa, tkliwa tęsknota. Wzburzone myśli uśmierzać się zdają słodczy sennie pieśczętą, rozkoszą niemą kochania.

Na wargi jej pobladłe liliowy spłynął uśmiech.

— Mietku, — szepce cicho — ty wrócisz, prawda? Ty wrócisz... zwyciężąc!...

Księżniczka moja, czarodziejka śpiewna! Jak rzewnem mi było tej chwili wzruszenie. Myślałem, a raczej korzyłem się przed nią rozmyślań modlitwą. Marzyłem — —

— Powiedz co Mietku — prosiła słodko, grać nieprzestając, — coś jeszcze dla mnie, dla mnie, wy-lącznie! — —

Patrzałem w jej źrenice głębokie, czytałem w nich miłość i trwogę. I świat zdał mi się czarnoksięskim ogrodem, gdzie kwiaty żyją łąz rosą, siejąc wonie łkającego smutku, przez łyzy cierpiąc i wędnąc. Chcesz, abym mówił? — —

— — — Pod stopy twoje rzucam kwiaty, — — Kładą się cicho, tak puszyście, jako jesienią wokół mej chaty ze drzew opadłe zeschnięte liście, jak mchów kobierzec popielaty — — —

— — — Pod stopy twoje rzucam kwiaty — — Czy widzisz ócz mych zachwycenie, dla cię śnieg lilij, róż szkarłatny... o rzuć królewskie choć spojrzenie!... Pod stopy twoje ścielę kwiaty. — — —

I niby w rzewnej piosence żołnierskiej przeszły i wiosna i lato i jesień... I wiecie, gdzie ją ujrzałem? — — Tę taką cichą, tak bardzo kobiecą, subtelną i tak wrażliwą? — —

W — szeregu!... W straceńczo słabo zbrojnym szeregu przeciw gwałtowi brutalnej przemocy, przeciw wrogowi zięjącemu nienawiścią i rozkiełznaniem.

Twarz jej płonęła, oczy, te czyste, pyszne, błękitne oczy, gorzały teraz zciemniałe, żarem jakimś innym, nieznanym, zwyciężkim; dziewczęcą ust jej tylko została taż sama.

— Mietku, jam tutaj! Ja także... ja także! My razem walczyć będziemy! — Głos jej brzmiał dumą tak szlachetnie wzniosłą, szczerą i bezwiedną, że trwogę o nią czułem, a wraz uwielbienie.

— Ty się nie gniewasz Mietku, prawda? ja przecież iść musiałam, rozumiesz... musiałam! — Nas jest tak mało! A wiesz — dorzuciła szybko, jakby z rozmysłem uspokojenia mnie — ja się nic, ale to nic nie lękam, i krom trwogi o los naszego miasta, szczęśliwą nawet się czuję!

I poszła w wir walki na ulice Lwowa. Wiecie, czy wiecie? jako lwie walczyła, jakby rycerską miała i duszę i zbroję. Ona, księżniczka moja, czarodziejka biała — —

— — — — — W szpitalnej widziałem ją sali. Pośród płomieni krwawych, co w oczach grozą mi szalały, widziałem Zochę... widziałem ją, zdrętwiały, jak płótno błądą... bez czucia... Pierś miała przeszyta,

Słyszycie!? Te dumne, rycerskie, kochające piersi... te piersi słodkie, dziewczęce... Nie pomnę, co było, słyszę tylko jeszcze wzruszony, ciepły głos doktora: Odwagi chłopcze, spokoju! Nas przecież uczono, że nie czas róż żałować, gdy płoną lasy, prawda?

— — — — —

Cisza... Mróz pełza po ciele, na gorących skroniach osiada ochłoda. Dokoła pustka taka, bezna-

dziejna pustka — — — Snieg bezszelestnie spływa
białym puchem, jako okiście białe kwiatu jabłoni —
Cisza — —

— Hej! kto tam? Hasło! — — ach! to tylko
zmiana — —

Lwów, 2. kwietnia 19 9.

Por. MIECZYŚLAW LISIEWICZ.

* * *

„Poruczniku czas ostatni,
Jeszcze chwila — otoczeni!
Nie wyjdziemy z wrażeń matni,
Jeśli los coś nie odmieni!...”

Trudno dzieci, bić się trzeba,
To o Polskę... im ich więcej,
Tem pewniejsza sławy gleba,
Tem się będziem bić goręcej!

„Poruczniku! to nawała,
Pięćset kroków ich armaty!“
Póki moja ręka cała
Nie wywieszę białej szmaty!...

„Poruczniku!.. chusta biała...
Ich są setki a nas — paru“...
Patrz! już krwią mą zczerwieniała,
Będzie służyć miast szłandar!...

Wicher targa zeschłe drzewa,
Zmarzłą ziemię rwą granaty,
Zewsząd leci kul ulewa,
Dymią zwolna resztki chaty...

Szumia brzozy gałązkami
Ptak skrzydlaty w dal pomyka
Tylko perli śnieg gwiazdkami
Całun Pana porucznika...

Bartatów, dnia 26. stycznia 1919.

KAZIMIERZ WOJ...

† Podpułk. Lis-Kula. (Jeleński.)

W 17 roku życia rozpoczął walkę o Polskę —
zakończył ją w 22.

Ale dzieje tego krótkiego życia, a długiego bo-
jowania mogłyby zapieścić tomy artysty słowa.

Pięć lat trudów, bojowania i szamotania się z pię-
tami niewoli i przemocy — pięć lat bitew, prze-
mykania przez kordony, zamachów na niemieckie
wojska, burzenia torów, wysadzania mostów i t. p.
— to jakby wielki romantyczny poemat rycerski.

Ale myliłby się, ktoby sądził, że to tylko żołnierz.
uprawiający wojaczkę z temperamentu dla samej wo-
jaczki.

Podkład tej bohaterskiej psychy był bardzo głę-
boki i szeroki.

Major Lis — to człowiek żądny bezpośredniej re-
alizacji idei, uznający prostą linię ostrza miecza za
najkrótszą ścieżkę do wcielenia marzeń irredentysty
polskiego.

Major Lis — to wielki uczeń Piłsudskiego, to
jakby ścięte w kryształ tchnienie stuletnich walk pol-
skich o niepodległość.

Jako siedemnastoletni chłopak jest duchem strze-
leckiej organizacji w Rzeszowie, prawą ręką kome-
danta okręgu rzeszowskiego, „Strzelca“ majora Wilka.

Gdy Piłsudski rozwinął sztandar samodzielnego
zbrojnego wystąpienia Polaków w zapasach wojny świa-
towej, Lis przyprowadza całą kompanię z Rzeszow-
skiego na krakowskie Błonia.

Po kilku miesiącach bojów polskich przeciw Ro-
syi — zostaje Lis mianowany komendantem kompanii
w V. batalionie I. bryg.

Wywiązuje się z tego zadania, jak doświadczony
oficer.

W r. 1915 na Wołyniu młodzieńczy porucznik
dostaje zastępstwo komendy VI. batalionu i wstawia
się znakomitymi czynami pod Kukłami, Kamieniuchą
i Jabłonką.

Szczególnie mistrzowskim ze stanowiska taktyki
wojskowej był nocny marsz por. Lisa na Jabłonkę.

Dwie kompanie 1. pułku szły atakiem frontowym,
zaś 2 kompanie pod dowództwem Lisa miały kieru-
nek marszu flankowy. Wśród ciemności nocy, na bez-
drożach bagien, tak znakomicie zorganizował się mło-
dy dowódca w terenie i przeprowadził ów nocny
marsz, że niespostrzeżony wpadł na tyły Moskali.

Nieprzyjaciół, trzeba przyznać, mimo to bronił się
zawzięcie. Wywiązała się ciężka walka wręcz na ba-
gnety, kolby i granaty ręczne. Lis wyszedł zwycię-
sko. Jabłonka została wzięta.

Pamiętne są również jego śmiałe wypadki na o-
kopy moskiewskie pod Kostiuchnówką.

Osłona odwrotu z pod Kołodziej po rozbiciu IV.
armii przez ofensywę Brusilowa żywo przypomina X.
Sulkowskiego obronę przeprawy przez Zelwę. W cza-
sie całego odwrotu Lis ze swoim batalionem, jako
ariergarda, pozostawał w ustawicznym kontakcie z wro-
giem na 20 kroków. Gdy przednie strażnice moskiew-
skie zbyt naciskały, wówczas Lis wstrzymywał swój
oddział, nakazywał salwę, a potem spokojnie odma-
szerowywał, gdy zaś nieprzyjaciół stawał się zbyt na-
tarczywym, wówczas odrzucał go kontratakami.

Po odmówieniu złożenia przysięgi przez Króle-
wiaków-Legionistów i po wypowiedzeniu posłuszeń-
stwa przez t. zw. austriackich poddanych — Lis-Kula
wraz z innymi znalazł się na froncie włoskim gdzie
Legionistów traktowano, jako przysłanych „strafweise“,
jako „politisch verdächtig“ i poddano ich odpowie-
dniej opiece, rozsypawszy ich przedtem pomiędzy dwie
dywizje różnonarodowe.

Po traktacie brzeskim, który wywołał przebiecie się
Hallera przez front na Ukrainę, legionieci pierwszej
brygady, nie mogąc ze względów technicznych i z po-
wodu rozdzielenia między obce oddziały uczynić cze-
goś podobnego, byli duszą agitacji narodowej wśród
dywizji gen. P.

Ważyli się dwa prądy: przejście na stronę Włoch
albo zorganizowanie przeważnie polskiej dywizji gen.
P. pod hasłem powrotu do kraju w razie wybuchu
rewolucji narodowej w celu poparcia jej.

Pierwszy plan miał być wykonany 7. marca 1918 w dniu głosowania nad budżetem w parlamencie wiedeńskim. Sygnałem miało być odrzucenie budżetu przez Koło polskie. Koło wstrzymało się od głosowania (z wyjątkiem socjalistów, którzy głosowali przeciw budżetowi).

Komenda austriacka dowiedziała się o zamierzeniach. Poszczególne oddziały dywizji przeniesiono na inne odcinki, zaostrzono dozór nad legionistami.

Pozostał drugi plan:

Lis-Kula jako austr. aspirant oficerski, znalazł się na odcinku pod Cordelazzo.

Dostaje rozkaz natychmiastowego wypadu na placówkę włoską — z plutonem legionistów.

Pod osłoną ciemności poszedł.

Obie linie placówek leżały w małym odstępnie od siebie, jak przyczajone na ziemi żbiki.

Placówka włoska było to silnie obwarowane „gniazdo“, o które już niejeden wypad austriacki o sile kompanii skruszył się krwawo i na które już żaden z oddziałów austriackich nie ważył się pójść.

Ale nie tylko taktyczne zadanie miał przed sobą Lis do spełnienia, trzeba było rozstrzygnąć przytem zasadniczy proces psychiczny — rozterkę duchową. Pójść i poddać się, czy napaść? Zrobić pierwsze — to pozbawić się możności walki w kraju w godzinie porachunku z ciemnizcami, to rzucenie płamy na opinię żołnierską legionistów, narażenie pozostałych towarzyszy na gorszą niedolę, na podejrzenia, i tem samem na rozpędzenie wszelkich skupień legionowych i zaskodzenie całej akcji. Żołnierz legionowy wołał wśród niebezpieczeństw przebijając się, dezertować i przemykać się, aniżeli poddawać się, co mogło być interpretowane, jako tchórzostwo. Takim był i Lis-Kula. Więc napaść?

Niemal tuż pod placówką włoską rozstrzygałem tę rozterkę — opowiadał Lis w gronie przyjaciół, gdy wyszedł ze szpitala po wyleczeniu ran i zajął do „jamy Michalikowej“ w Krakowie, po raz ostatni w austriackim mundurze.

I wybrał drugie. Zataakował — wziął całą placówkę wraz z karabinem maszynowym. Była to ciężka i bolesna walka.

Lis-Kula odniósł 17 ran od granatów ręcznych.

Od tej pory Lis-Kula stał się bożyszczem całego austr. korpusu, wszyscy żołnierze o nim mówili, wpływ moralny Legionów na żołnierzy austr. narodowości polskiej wzmógł się, prestige pol. legionistów wobec cudzoziemców wzrosło.

Lis po wyleczeniu się z ran przybył do Krakowa.

Po przejściu Hallera przez front austriacki, w celu połączenia się z wojskami polskimi, walczącymi przy boku koalicji, rozpoczął się ogólny exodus oficerów i żołnierzy legionowych na „tamtą stronę“.

W Krakowie (1918 r.) otrzymuje Lis rozkaz od pułkownika (obecnie generała) Smiętego-Rydzia, zastępcy uwięzionego w Magdeburgu komendanta Piłsudskiego — rozkaz udania się do oddziału Dowbora-Muśnickiego.

Gdy po bitwie Hallera pod Kaniowem z Niemcami, wskutek nieszczęśliwego jej wyniku, Muśnicki zachwiał się i zamierzał pertraktować z Niemcami i ewentualnie rozbroić swój korpus — wówczas Lis-Kula z kilku innymi oficerami legionowymi (Wieniawa) aresztuje Muśnickiego, by zapobiedz podpisaniu nieszczęsnej kapitulacji i odwołuje się do korpusu oficerskiego o dalsze postanowienia; większość korpusu oficerskiego jednak nie solidaryzowała się z Lisem. Muśnickiego uwolniono. Za kilka dni została podpisana bez walki kapitulacja bobrujska.

Wówczas udaje się Lis-Kula na południową Ukrainę, gdzie spotkał ppłuk. Tokarzewskiego i podpułk. Zulaufa, którzy za aprobatą koalicji tworzyli z rozbitek Hallera i żołnierzy Polaków z armii rosyjskiej nowe oddziały polskie do walki z Austrią i Niemcami.

Tu otrzymuje Lis-Kula rozkaz nowy, aby udał się do Kijowa i objął dowództwo P. O. W. na całą Ukrainę.

Po objęciu komendy przez Lisa pokrywa się cała Ukraina bojówkami P. O. W.

Bojówki Lisa ustawicznie nękają Niemców napadami partyzanckimi.

Nie było ważniejszego toru kolejowego, którym szły transporty niemieckie, którego by nie uszkodziły bojówki Lisa; wysadzał mosty, napadał na koszarzy niemieckie w samym Kijowie, wysadzał je w powietrze. Żaden transport niemiecki nie doszedł na czas. Mniejsze oddziały niemieckie niknęły, jakby się zapadały pod ziemię. Lis-Kula działał od Charkowa po Odesę i do granic Galicji.

Te głuche wieści, które dochodziły do nas, że na Ukrainie są buntury chłopów itp. — to była robotą Lisa.

Przychodzi nowy rozdział bohaterstwa Lisa.

Po wieści o zamachu ukraińskim w Galicji — wybiera się Lis z oddziałem P. O. W. do tej części Polski. Przebija się koło Brodów. Chcąc zbadać, co się dzieje w tym mieście, wybrał się z oficerem (6 p. leg. pol.) Jaroszem na patrol w stronę Brodów, pozostawiając między sobą a oddziałem swoim łączników.

Tu wpadł w zasadzkę ukraińską. Po zaciętej obronie dostał się wraz z Jaroszem do niewoli ukraińskiej. Oddział zaalarmowany przez łączników, zdołał wycofać się w kierunku Włodzimierza Wołyńskiego.

Ale nie Lisowi-Kuli siedzieć w niewoli. W krótkim czasie uwolnił się z niej ucieczką i przybywa do Lublina. Wkrótce obejmuje w grupie Romera dowództwo baonu, który operuje pod Rawą Ruską, zdobywa to miasto i trzyma je w pewnych rękach.

Gdy doszła wiadomość, że siły ukraińskie pod Petlurą wykonały na Włodzimierz Wołyński atak, zostaje Lis-Kula odkomenderowany do grupy jen. Smiętego, który uwalnia Włodzimierz i przeprowadza znakomitą ofensywę na Kowel i Maniewiczze.

W tych walkach Lis-Kula ze swoim oddziałem detaszowanym dokonuje tu cudów waleczności. Wyprzedza on kontrofensywę ukraińską na Maniewiczze, rozбивa wojska Petlury i zbiera bogate łupy. Pod Poruckiem rozбивa dwa pułki ukraińskie małym tylko oddziałem, bierze do niewoli sztab tej grupy ukraińskiej oraz działa i sprzęt wojenny.

W chwili, gdy nam potrzeba jak najwięcej bohaterów i zdolnych, nie zmanierowanych rutyną armii, niemiłosierny los przecina życie Lis-Kulj.

W bitwie pod Torczynem pada niepospolity żołnierz, bohatersko-legendarna postać — pada od nieprzyjacielskiej kuli w rozkwicie żywota, przepełnionego szaloną energią czynu. Z Lisem-Kulą zginął wybitny polski talent wojskowy.

Na łożu zgonu dostał major Jeleński nominację na podpułkownika.



Na śmierć podpułkownika

Leopolda Lisa-Kuli.

(Z okazji pogrzebu w d. 16. III. 1919 w Rzeszowie.)

Wróciłeś do nas! — ale ponad Tobą
Sztandar się czarny ponuro kołysze,
Serca nam okrył smętny kir żałobą
I kroczą smutni boju towarzysze,
A okrzyk żalu zawisa w przestrzeni,
Jakgdyby skargą chciał przebić niebiosą,
Ogarnąć wszystkich w rozpacz płomienie,
I pytać z bolem, czemu śmierci kosa
Tak wcześniej Ciebie z ziemi naszej bierze,
Ty legionowy, mężny bohaterze!

Wróciłeś do nas! — ale z Twoich oczu
Iskra geniuszu już nam nie zabłyśnie —
Tam na moskiewskiej, czy włoskiej rozłoczy
Myśl Twa czująca z mózgu nie wytryśnie,
Już jej nie chwycą dzielne Twe legiony,
W czynów rycerskich nie przetopią stale,
Już się nie wsłuchasz w armatnich kul tony,
Co tak Ci grały ku ojczyściej chwale —
Z ust Twych nie padną już rozkazu słowa, —
Ty, chlubo Polski, Ty, dziecie Rzeszowa!

Wróciłeś do nas! — a my Twoją trumnę
Do piersi tulim rękoma drżącemi,
Miasto grób kopie z bohatera dumnie
I z płaczem składa go na swojej ziemi. —
Czci i uznania stawiając granity,
Żeś tak ukochał swą Ojczyznę drogą,
Takich poświęceń osiągnąłeś szczyty,
Tak młodo padłeś pod kulą nam wrogą
Na polu chwały tam, aż pod Torczynem,
Niejednym jeszcze mogąc świecić czynem!

Wróciłeś do nas! — i zostaniesz z nami!
Niechaj czuwają Twe cienie mogilne,
By serca nasze, choć zalane łzami,
Równie, jak Twoje, były wielkie, silne,
Aby myśl nasza, rozrywając pęta
Niskich pożądań, szybowała w chmury
Ofiarnych celów, gdzie Ojczyzna święta,
Gdzie wleciała z szumem orzeł srebrnopyóry
I zawsze stała na poświęceń żołdzie,
Jak ty w swem życiu, coś nam złożył w hołdzie!

Wróciłeś do nas — placówka ostatnia
Tu ducha Twego — ostatnia strażnica
Grobowych istnień — napróżno dłoń bratnia

Szuka postaci... nie błysnie głowica
Twej ostrej szabli... w uroczystej ciszy
Ech cmentarnianych odezwie się łkanie
Rodziny Twojej... to znowu usłyszysz
Szeptanie modlitw, kolegów szlochanie...
Śpij słodko — sława bojowa niech śni Ci się,
Żegnaj młodzieńcze, pułkowniku Lisie!

W Rzeszowie, 16 marca 1919.

Roman Kudrzański.

Pamiętasz?...

S. p. pchr. Stefanowi Drzewiakowi
rannemu przy zbiegu szosy Magierow-
skiej i Lwowskiej, a poległemu na
Przedmieściu Rawy Ruskiej, poświęcam.

Pamiętasz? poznaliśmy się w Szczypiornie. Nę-
dza, głód i tęsknota zwały nas węzłem serdecznej
przyjaźni. Odtąd stale spędzaliśmy długie, jak wie-
czność, dni niewoli, stale razem gawędziliśmy.

Pamiętasz? Cały obóz śpi — zdawałoby się —
wymarł, a my we dwóch przy świetle latarni ele-
ktrycznych, jak sennie mary, łazimy po bloku. Ci-
sza... Miarowe kroki wartowników i nasze, szeptem
prowadzone rozmowy zakłócały ją.

A o czym my wtedy nie gawędziliśmy?

I o Nim, co to w pruskim więzieniu dzielił
z nami żołnierską, smutną dolę, i o tych, co się
zostawił gdzieś tam w lasach Wołynia, nad Styru
i Stochodu brzegami, i o tych, których niewola
ominęła, i o naszym społeczeństwie, co krzyżeć
i manifestować tylko potrafi, a gdy trzeba w czy-
nów uderzyć stal — nikogo niema, i o Polsce,
ale nie takiej, jaka jest, ale o tej, którą wymarzyliśmy
pod szarym niebem Wołynia, i o naszej niedoli,
i o rodzinach naszych, i o paczkach z prowiantami
z domu przysłanych — słowem o wszystkich —
wszystkiem...

Po takich gawędkach ból ścisnął żołnierskie,
twarde serce, a z oczu spływały ciężkie, ołowiane
łzy, łzy bólu, gorczy, niemocy.

Pamiętasz? Zbiórka w blokach. Wyczytywanie
ludzi, zgłaszających się do przysięgi... Pamiętasz tę
naszą bezsilną wściekłość, wściekłość psa na uwięzi,
ten ból? Och! na samo tylko wspomnienie dziś
jeszcze krew się burzy, pięść mimowoli zaciska.

Albo głódówka?

Byłeś wtedy komendantem „sali“, w której sa-
ma „baciarnia“ kwaterowała.

Chory, ledwoś na nogach się trzymał, policzki
krwią tryskały, oczy mgłą zasłyły, gorączka — tyś
sobie nic z tego nie robił, śpiewałeś i „słone“ wia-
rze gadałeś kawały, byleby tylko zapomnieli
o głodzie.

I trzymałeś ich, nie złamali solidarności.

Pamiętasz? Spotkałem Cię tego dnia, gdyś wrac-
ał z zebrania komitetu obozowego. Uśmiechnąłeś
się do mnie serdecznie: — „Psiakrew! nie damy
się, prawda? — rzekłeś i uściśnawszy mi rękę,
chwijnym krokiem udałeś się na kwatery.

Takiego uśmiechu już nigdy na twym nie wi-
działem obliczu... Jakaś choroba toczyła twą duszę
jak rak. Stale już później zamyślony byłeś, a jeśliś
miał humor to taki z pod szubienicy, prawdziwie
leguński.

Obóz w Łomży. Niedziela palmowa. Rozkaz Śmigłego. Całonocne sejmikowania. Prawda! cośmy wtedy nie przeżywali? jakie upokorzenie.

Jakto! My, którzy odmówiliśmy przysięgi, którzy dobrowolnie za to poszliśmy do pruskiego obozu jeńców, dziś, z rozkazu, zgłosić się mamy do „Wehrmachtu“ i przysięgać na tę samą rotę?

To było straszne, a jednak... jednak i te czare goryczy wypiliśmy do dna. — Rozkaz zastępcy „Dziadka“, z bólem coprawda został spełniony...

Twój pokoik w Łomży. Wieczór... było to już po apelu — zebranie u Ciebie. Byłeś tam Ty, Błaszczuk, Jagmin-Sadowski, Wysocki, Marek Różycki i ja. Rada w radę — postanowiliśmy wydawać pismo humorystyczne. Byczo! Ale jak je nazwać? Posypały się projekty jak z rękawa. Żaden nie przypadł do gustu. Aż tu Błaszczuk: Nazwijmy „Monitorem“ — Ktoś tam dodał do tego tytułu „Odrutowany“ — ot i sumptem naiwnych nakładów ma wychodzić „Monitor odrutowany“.

Pamiętasz? Jakaśmy się cieszyli, gdy pierwszy numer „Monitora“ rozchwytywała wiara i zrywając boki ze śmiechu, czytała go od deski do deski.

Jakaśmy się cieszyli z tego, że możemy chociaż na chwil kilka uprzyjemnić pobyt w obozie! Prawda, to były najmiłsze chwile w niewoli!

Potem drugi i ostatni numer „Monitora“, likwidacja obozu, ostatnie zebranie redakcji, mój wyjazd.

Pamiętasz nasze pożegnanie? Krótki, żołnierski uścisk dłoni, serdeczne życzenia wszystkiego dobrego, przeciągłe braterskie spojrzenie — to wszystko.

Wyszedłem — Tyś za mną wyszedł z koszar. Byłem już z druhmami, obejrzałem się, widzę patrząc w mą stronę — oczyma ślesz mi ostatnie pożegnanie. Nie mogłem dłużej na Ciebie patrzeć, bo łzy mi gwałtem cisnęły się do oczu. Żal było porzucać ludzi, z którymi najcięższe bodaj chwile w życiu się przeżywało. Lecz trudno! Tak być musi, bo taki los wypadł nam, że dziś tu, a jutro — tam!

Odjechałem...

Ostatni raz widzieliśmy się w Zamościu, Tyś z baonem lubelskim jechał na odsiecz Lwowa.

Wstąpiłeś do mnie.

Pamiętasz? Zerwicz namawiał Cię, byś został z nami w Zamościu, bo tu ważniejsza jest placówka. Tyś nie chciał się zgodzić i odjechałeś — na zawsze...

Dowiedziałem się z gazet, żeś padł. Nie wierzyłem, nie wierzyliśmy z Zerwicem.

Dziś wiemy na pewno:

Byłeś dowódcą placówki, Ukraińcy, zafasowali po cichu sąsiednią i zaczęli zagrażać Twym tyłom. Musiałeś się wycofać aleś nie zdążył: Postrzał w nogę przeszkodził temu. Towarzysze Twój, nie mogąc Cię unieść ze sobą, zostawili w żydowskiej chałupie na przedmieściu Rawy Ruskiej. Po wyparciu Ukraińców znalazłeś Twe ciało przed chałupą, — ale już bez życia — pomasakrowane... Widzisz! trzy lata siedziałeś na froncie i szlak Cię nie trafił, a teraz?... Ot! serce się kraje!.., Bratem mi byłeś, jak brata żałuję...

Jeno mam żal do Ciebie, druha mój serdeczny, żeś mi nigdy nazwiska swego powiedzieć nie chciał, tajemnicę tę zabrałeś ze sobą — do grobu.

Znałem Cię, jako Drzewiaka i jako takiego — żegnam. Do zobaczenia!

My się tam może niedługo znajdziemy w komplecie.

Grudzień, 1918 r.

Kazimierz Zydowo, sierżant.

Dowódcy lwowskiej załogi.

Lwowska załoga zmieniała często swoich dowódców. Formacje jej bowiem, powstałe w ogniu walki skupiały się z wolna w większe jednostki, aż urosły do siły obecnej. W ciągu więc tego urastania miały różnych dowódców, którzy kierowali jej losami i prowadzili w ciężkiej walce. O jednych wie się dziś bardzo wiele, o innych mało. A jednak w ręce dowódcy skupiają się wszystkie nici przewodnie, kierujące ogromną maszyną, jaką jest wielka jednostka bojowa. On bowiem wiedzą swoją, energią i inicjatywą doprowadza do powodzenia i uświetnienia zwycięstw polskiego oręża.

Do imion, znanych już, jak gen. Rozwadowskiego, Roji, Romera, pułk. Sikorskiego, Kulińskiego, Maczugińskiego i Tokarzewskiego, przybuły obecnie nowe: jen. Jędrzejewskiego i pułkownika Strzeleckiego.

Jen. dywizji Władysław Jędrzejewski przybył do Lwowa wraz ze zwycięskim wojskiem jen. Iwaszkiewicza, po przełamaniu frontu ukraińskiego pod Gródkiem Jagiellońskim i objął dowództwo lwowskiej załogi po jen. Leśniewskim. Jakkolwiek długie lata służył w armii rosyjskiej, jest Polakiem z krwi i kości i ma za sobą rodzinną tradycję. Urodził się w r. 1863 na Litwie, jako syn obywatela ziemskiego.

Ojciec jego i dziad walczyli w powstaniu 1863 roku przeciw Moskwie, za co ich omal Moskale nie powiesili. Był on wychowany wśród wrażeń z tych czasów. W roku 1884 ukończył warszawską szkołę wojskową z pierwszym stopniem. Służbę wojskową odbywał następnie w Finlandyi i w petersburskim okręgu. W roku 1914 przed samą wojną otrzymał rangę pułkownika. Brał udział we wszystkich większych kampaniach wielkiej wojny. Był we wschodnich Prusach, pod Warszawą, pod Łodzią, nad Rawką, wreszcie w Rumunii. Za wybitną swą działalność otrzymał cały szereg rosyjskich odznaczeń, a pod Bukaresztem order „św. Michała Chrobręgo“ od króla rumuńskiego. W roku 1916 awansował za wybitne czyny w Rumunii pod wsią Amara na generała. Kiedy w r. 1917 wybuchła rewolucja i rozpadł się front rosyjski, bolszewicy przeprowadzając zasadę równości stopni w wojsku zdegradowali jen. Jędrzejewskiego na prostego żołnierza. Z frontu przedarł się więc do Pskowa, a stąd do Warszawy, gdzie wstąpił do młodego wojska polskiego i został dowódcą rezerwy oficerskiej. Niedługo jednak pozostał w Warszawie. W czasie walk o Gródek Jagielloński wysłano go na odsiecz Lwowa wraz z jen. Iwaszkiewiczem, którego był zastępcą. Zaś po uwolnieniu Lwowa mianował go jen. Iwaszkiewicz dowódcą lwowskiej załogi.

Jen. Jędrzejewski brał udział w wojnie od początku i był trzykrotnie ranny. Jakkolwiek jest mężczyzną w sile wieku, zdradza energię i zapał młodego człowieka. Małomowny i skąpy w słowach, długo wazy w myślach, zanim coś powie. Charakteryzuje go to jako żołnierza z krwi i kości. Pracowity i sumienny, jest jen. Jędrzejewski ideałem wzorowego, wytrwałego wodza. Nie lubi mówić o tem, co się jesz-

cze nie stało faktem. O dotychczasowej obronie Lwowa wyraża się on z prawdziwym uznaniem i podziwem. Oto co powiedział o naszych bohaterach sprawozdawcy „Gazety Porannej”: „Żołnierz nasz wyborczy i duch w nim Hoskonały, a fantazyja rycerska taka, że sam rwie się do boju... Słowem, skoro mam pod sobą doskonałe i wypróbowanego męstwa pułki legionowe, możecie być o Lwów spokojni”. Już same daty biograficzne charakteryzują jen. Jędrzejewskiego jako człowieka wielkiej wiedzy i rozległego doświadczenia wojennego. Polska armia i Lwów spodziewają się po nim wiele.

Obok jen. Jędrzejewskiego wybitne miejsce zajmuje jego zastępca pułk. Zygmunt Strzelecki, który od listopada wytrwale stoi na odpowiedzialnym stanowisku. W dziejach obrony Lwowa imię jego zapisało się chlubnie, a zasługi jego, chociaż szerszemu ogółowi nieznane, są niepoślednie. Będąc dłuższy czas zastępcą jen. Leśniewskiego i inspektorem frontu, dokonał niezwykle ważnych pod względem wojskowym rekonstrukcji i ulepszeń, a jako dowódca załogi lwowskiej po ustąpieniu jen. Leśniewskiego przyczynił się niemało do obrony obleżonego miasta.

Pułkownik Strzelecki urodził się w Brzeżanach w r. 1864. Szkoły średnie ukończył w Przemyślu, a po zdaniu matury wstąpił do Akademii wojskowej we Wiedniu. Po ukończeniu akademii w r. 1895 został przydzielony do 7-go pułku ułanów a w pięć lat później do 4-go pułku ułanów, którego dowództwo objął w dzień mobilizacji w roku 1914. Na czele swego pułku wziął udział we wszystkich wybitniejszych kampaniach wielkiej wojny, a więc na froncie Besarabskim, w Karpatach galicyjskich i siedmiogrodzkich, w Królestwie, na lewym brzegu Wisły koło Płocka. W tym czasie został odznaczony całym szeregiem odznaczeń niemieckich i austriackich. Brał potem udział na czele 15-ej górskiej brygady piechoty, której dowództwo objął, w kampanii włoskiej, w słynnej ofensywie austriackiej nad Piawą i na Montello. W czerwcu 1918 roku objął dowództwo 21-ej brygady kawalerii nad Donem, a stamtąd w październiku dostał się jako chory do lwowskiego szpitala na „Technice”. I tu zaskoczyły go wypadki listopadowe. Następnego dnia po przybyciu gen. Roji do Lwowa zgłosił się do służby w wojsku polskim, a w kilka dni później mianował go jen. Rozwadowski swoim zastępcą i inspektorem odcinków lwowskiej załogi, którą to funkcję pełnił aż do zawieszenia broni z Ukraińcami. W pół godziny po zerwaniu zawieszenia broni mianował go jen. Rozwadowski dowódcą lwowskiej załogi. W tej funkcji pozostał aż do przybycia jen. Jędrzejewskiego. Dnia 24. bm. został mianowany przez jen. Iwaszkiewicza zastępcą dowódcy lwowskiej załogi.

Pułk. Strzelecki ma za sobą dużą wiedzę wojskową, nabytą w czasie długoletniej służby i w walkach wielkiej wojny. Od pierwszych bowiem dni przebywał w polu a od listopada pracuje niestrudzenie w wojsku polskim. Wszelchstronnego swego wykształcenia wojskowego używa z wielkim pożytkiem dla organizowania młodej armii polskiej. Jako inspektor frontów zasłużył się on bardzo około wzmocnienia pozycji, wybudowania okopów i zasieków drucianych, za jego staraniem nastąpiły bardzo gruntowne zmiany w organizacji lotnictwa, automobilów, warsztatów, szpitali i więzień wojskowych. Przyczynił się znacznie do ulepszenia umundurowania i uzbrojenia, zarazem do podniesienia dyscypliny w poszczególnych oddziałach. Szczególną zasługę położył on w czasie eksplozji amunicji na dworcu głównym, zabezpiecza-

jąc dworzec i okolice. Za jego inicjatywą nastąpiło w czasie przerwania frontu pod Sądową Wisznią zajęcie Kozic i Domażyra.

Młoda armia polska znalazła w nim doborową i fachową siłę, a lwowska załoga doświadczonego i wytrawnego dowódcę.

K. B.

Lwów, w kwietniu 1919.

Jazda polska nad rzeką Moskwą.

Polskiej tradycji o napoleońskiej epopei i naszym w niej udziale zwiędziały się czyny i usiłowania cesarza Francuzów i tych, co szli za jego gwiazdą, jako meteoryczny urywec świetnej, choć zamierzchłej rycerskiej przeszłości. „Ułańskiej furkot chorągiewki”, budzący wspomnienia poszumu skrzydlatej husarii, a dalej zakutej w stal jazdy średniowiecza, krwią zapisującej się pod Grunwaldem w księgi Historii, był i jest pono najpełniejszym streszczeniem tego, co przejmowało ówczesną naszą zbiorowość. I nie tylko naszą. Wszakże dla Francuzów był ks. Józef polskim Bayardem, a sam Napoleon — wykonawcą testamentu Karola Wielkiego. Fakty zdawały się odpowiadać tradycji. Bo czyż szarże jeźdźców napoleońskich, tych „ostatnich rycerzy”, ginących z okrzykiem „Vive l'empereur”, nie przypominały ich legendarnych poprzedników z dworu króla Artusa? Tak współcześni znaleźć chcieli w przeszłości odpowiednik dla swej epoki, wielkiej entuzjazmem i natężeniem życia, spotykanem tylko w chwilach porzucania form zmurszałych a szukania „nowych”, spodziewając się rozwiązania dręczących ich zagadnień, w myśl zasady „historia vitae magistra”.

Ale historia, wciąż inne ukazująca oblicze, w moskiewskiej wyprawie i jej punkcie kulminacyjnym, bitwie pod Możajskiem, rozwiła złoty sen o „powrocie” średniowiecznego rycerstwa.

Zetknęła się tu lotna fantazyja kawaleryjskiej szarży z posępną, twardą szarością bitwy nowoczesnej, opartej o szańce, okopy, reduty, a choć zwycięsko wyszła z pierwszego spotkania, zaświadczyła krwią i przewlekłością boju, że to ostatni jej wysłak, ostatnia „chanson de geste”. O tym momencie zwrotnym w historii wojen, będącym również zwrotem w napoleońskiej epopei, mówi nam świeżo wydana piękna praca podpułkownika Kukiela.

„Wdał się Napoleon w rzeczy olbrzymie. Nie jest on już cesarzem Francuzów; jest czemś więcej i ma tego świadomość niejasną — człowiekiem „Europy”, pisał ongi dr. Kukiel w swych „Dziejach oręża” o Bonapartem w przededniu wojny 1812 roku. Konieczność wiodąca Napoleona po drodze „przeznaczeń” ku spełnieniu swej „misji historycznej”, postawiła go na czele skoalizowanej Europy zachodniej i środkowej w walce z ostoją absolutyzmu — cara — i kazała walke tę prowadzić aż po mury Moskwy, w pogoni za pierzchającym zwycięstwem. I oto dla czego wbrew radom swych marszałków Napoleon po chybieniu pierwszego planu operacyjnego, po złączeniu się obu armii rosyjskich, Barklaja de Tolly i Bagrationa, powziął decyzję dalszego pochodu z pod Smoleńska na Moskwę, wywołując niezliczone „strofowania” późniejszych krytyków. A już naoczny świadek wypadków po stronie rosyjskiej, Clausewitz, widział w postanowieniu Napoleona jedyne rozstrzygnięcie trafne, pisząc: „Bonaparte obrał środek jedynie wiodący do celu: śmiałem uderzeniem wydrzeć pokój za-

straszonemu przeciwnikowi. Że wojsko jego przytem przepadło, wynikło z ryzyka, które brał na siebie... była to stawka w grze, cena wielkich nadziei".

Więc ruszyła wielka armia w dalszą drogę szlakiem, schodzonym w ciągu wieków przez hufce litewskie i polskie za ustępującym wrogiem, tracąc z każdym krokiem naprzód swą przewagę liczebną, wydłużając komunikację. Ppułk. Kukiel przedstawia tu w trzech rozdziałach treściwie i jasno wartość i właściwość obu wojsk, ich skład, organizację i taktykę, podkreślając różnice i podobieństwa do czasów dzisiejszych, zwięźle ujmując cechy zasadnicze. Analiza terenu i rekonstrukcja przebiegu bitwy zawiera, oprócz wyświetlenia szczegółów, mnóstwo spostrzeżeń i nauk dla praktyki wojskowej, pełne docenienie kierownictwa bitwy przez Napoleona, tak często rozumianego tu fałszywie.

„Pomyślana była bitwa jako atak skośny, z przewagą na skrzydle prawem, na przeciwnika przygwożdżonego na reszcie frontu; obejście miało odegrać rolę pomocniczą: przeznaczono też na nie siłę zbyt szczupłą, zaledwie 6000 bagnetów polskich“, określa ppułk. Kukiel przewodnią myśl taktyczną mozajskiego boju. Z niezwykłą wyrazistością utrwalają się przy czytaniu poszczególne fazy bitwy, więc preludium, spotkanie z podaniem naprzód lewem skrzydłem rosyjskiem w pozycji pod Szewardinem 5. września, mylnie przez Napoleona uważanem za stanowisko wysunięte, a później zażarta rzeź na południu od Kołoczy, spłot natarć i przeciwnatarć piechoty i kawalerijskich szarż, pożerający szeregi zapaśników bez stanowczego wyniku, a kulminujący w końcu w krwawym boju o szaniec Rajewskiego. Obok tego samodzielne niemal działania korpusu polskiego w walkach na skrajnym prawem skrzydle pod Uficą, demonstracja rosyjska Platowa na lewem.

Bitwa jak wiadomo nie została „przewalczoną“ do ostatka. Zgnieciony na znacznej przestrzeni front Rosyan, mimo strat 58.000 ludzi, nie rozpadł się dzięki ślepej wytrzymałości żołnierza i niewprowadzenia w bój ostatnich rezerw Wielkiej Armii, które dałyby zwycięstwo zupełne. Wobec tego zawahania się przed ostatnią stawką, tak pochoinnie zazwyczaj nazywane-

go „błędem“, skalpel krytyczny autora zatrzymuje się z szacunkiem i delikatnością, jaką budzi czyn człowieka toczącego jedyne w swym bólu „zapasy z decyzją“: „Napoleon trafnie przeczuwał..., że dalszy bój pochłonąłby jeszcze znaczne ofiary! Wiedział o olbrzymich stratach, poniesionych przez jego wojsko. Uznał stratę poniesioną już za najwyższą miarę strat, jaką znieść może Wielka Armia, nie tracąc zdolności do dalszych przedsięwzięć. Świadomie i niewątpliwie z ciężkiem sercem cesarz wyrzekł się uzupełnienia zwycięstwa... Za to cofnięcie się przed ofiarą ostatnią przyjdzie Napoleonowi zapłacić wszystkim, zapłacić w pierwszym rzędzie zagładą Wielkiej Armii. Jednak krytyka uczyć musi tę decyzję zwycięzcy, przyniesionego brzemieniem swojej władzy nad światem, brzemieniem swych ogromnych przeznaczeń“.

Wśród wiru walki i tłumy wielojęzycznych wojsk autor „wzrokiem miłującym“ znajduje polski w nim udział, bój korpusu V-go, przewlekły i krwawy, a przede wszystkim świetne szarże kirasjerów Małachowskiego na wzgórzu pod Semenowskąją i redutę Rajewskiego. „W bitwie tej, tak posępnej w swym przebiegu, ataki konnicy tworzą jej poezję“.

Po wieku przeszło podobna poezja zabłąkać się miała w okopach wojny zupełnie już nowoczesnej w szarży ułanów Wąsowicza pod Rokitną 1915 r.

Pod kątem „przydatności“ rozpatrywany VI tom „Bojów Polskich“ przynosi cenne uwagi i przyczynki, zdolne pogłębić wykształcenie polskiego oficera.

Przyczyniają się do tego liczne, starannie wykonane i odbite szkice sytuacyjne, umożliwiające dokładne przestudyowanie przebiegu bitwy.

Rozdziały o armii napoleońskiej i rosyjskiej, ich sposoby wojowania w stosunku do taktyki dzisiejszej, wreszcie końcowa charakterystyka bitwy borodzińskiej, posiadają bezpośrednią wartość dydaktyczną, czyniąc z książki wprost podręcznik do teoretycznych zadań.

Jako monografia historyczno-wojskowa „Jazda polska nad Moskwą“ przedstawia krytycznie i wyczerpująco ważną chwilę moskiewskiej kampanii, dając jej oświetlenie właściwe, nie tracąc w labiryncie szczegółów syntetycznego poglądu na całokształt wypadków.

Z Krakowa.

Kraków, w kwietniu.

Zazieleniły się świeżą runią planty, zaroilo się na nich od tłumów, które wyległy grzać się w słońcu i rozkoszować się, że oto wiosna już przyszła, że zniknęła już zima wojenna, która swoją drogą nigdy zanadto nie dokuczyła grodowi Podwawelskiemu. Wiosenne, ciepłe słońce lśni się na guzikach i wyłogach żołnierzy polskich, których jest w Krakowie mnóstwo, muska elegancko ubranych i nienagannie wyczesanych elegantów cywilnych, beczynnje objajających się po kawiarniach, restauracjach, cukierniach. Oeh, ci eleganci dwudziestokilkuletni, zdrowi, wypoczęci, bardzo dowcipni, jeśli idzie o jakiś „kawał“ na temat walk z Rusinami, roznoszący plotki o tem, że we Lwowie jest już zupełnie „dobrze“, że ludzie „przyzwyczaili się“ do pocisków, że żywności jest w bród. Wartoby tych panów przetransportować na kilka tylko dni do Lwowa, a mina zrzędlaby im natychmiast. Oni to i ich laleczkowate, bezduszne towarzyszy robią opinię w Krakowie, w tym cudnym Krakowie, który

tak jest zakochany w sobie, że nie poza sobą nie widzi. Jeden z lwowskich literatów, który obecnie stale przebywa tutaj zauważył, że Kraków to scena z pięknymi dekoracjami, na której nie się nie dzieje, nie ma akcyi. Poza pracą wojskowości, ludność cywilną jest tylko sobą zajęta. Nie mówimy naturalnie o wyjątkach, tylko tych wyjątków jest naprawdę bardzo nie wiele.

Jak już doniosłem tutejsza filia redakcyi i administracyi „Placówki“ mieszcząca się przy ul. Karmelickiej 1. 9. rozwinęła ożywioną działalność i w krótkim czasie zdołała skupić koło siebie grono wybitnych pisarzy, którzy obiecali swą współpracę. Krakowska filia obejmuje Galicyę zachodnią i Śląsk, zajmuje się ekspedycyą, zbieraniem anonsów i gromadzi materiał redakcyjny. Potrzeba takiej filii była bardzo wielka ze względu na rosnące z dniem każdym agendy pisma, które zyskuje sobie coraz więcej zwolenników tak wśród żołnierzy, jak i poważnie myślącego obywatelstwa. Wszystkich więc czytelników, przyjaciół i współpracowników „Placówki“ z zachodu i Śląska prosimy o zwracanie się tak w sprawach redakcyjnych jak i administracyjnych pod adresem Kraków, Karmelicka 9.

Lecz ponad to wszystko książka podpułk. Ku-kiela wskrzesza ducha doby napoleońskiej, jest przykładem, jak każda praca naukowa żywą się staje, skoro autor poprzez technikę metody i erudycji przeżyciem wewnętrznym odtwarzanej przeszłości i wczuwaniem się w psychikę jej ludzi dotrzeć potrafi do „wewnętrznej prawdy wydarzeń”.

I w tem tkwi jej moment twórczy.

Augustyn Cichowicz.

Męczeństwo oficerów w Rosyi.

Nikomu nie jest tajnym, że jedną z przyczyn upadku i klęski Rosyi była anarchia w armii. Rewolucya dokonała się w czasie wojny i to było jej całym nieszczęściem. Dokonała się w najokropniejszym bezładzie administracyi wewnętrznej i polityki zagranicznej. Musiała jednocześnie walczyć lub mieć się na baczności przed kontrewolucyą, a w tejże samej chwili nie tylko podjąć pracę dawnego rządu we wszystkich dziedzinach, ale ją znacznie ulepszyć, aby wyprowadzić naród z chaosu, biedy i klęski.

Trzeba było znaleźć jakiś punkt oparcia. Armia sama oddała się do dyspozycji rządu rewol. Ale najwyższa władza wojskowa zbyt była silnemi węzłami połączona z caratem, ażeby można było jej ufać. Elementy zaś skrajne podsuwały myśl demokratyzacyi wojsk, ideę oparcia się jedynie na szarej masie żołnierzy.

W samym początku rewolucyi, w pewnem oszołomieniu świeżym tryumfem, wśród kultu dla nowych form życia — w najszlachetniejszym zamiarze uczyniono pierwszy krok do rozprzężenia dyscypliny w armii.

Dnia 18. marca r. 1917, minister wojny Gucz-kow wydał rozporządzenie, które nazwano „zrównaniem praw żołnierzy z prawami obywateli”. Rzeczywiście było to niewinne rozporządzenie, owszem poddyktowane najlepszymi uczuciami i zmysłem sprawiedliwości. Jednakże nie było ono ostatnie. Jeszcze

Poruszona przez nas w ostatnim „Liście krakowskim” myśl urządzenia w Krakowie wystawy fotograficznej i obrazów przedstawiających zniszczenie Lwowa, ciekawsze odcinki bojowe, podobizny wodzów i żołnierzy, zyskała tu ogólny poklask. Wystawa taka mogłaby się odbyć w Pałacu sztuki, przy staraniach Komitetu złożonego z członków lwowskich i krakowskich. Tylko zaaranżowaniem jej należałoby się natychmiast zająć i przygotować katalog ilustrowany ze słowem wstępnem. Katalog taki byłby nie tylko cenną pamiątką, ale przyniosłby również pokaźny dochód.

Pisząc o Krakowie, trudno nie wspomnieć o teatrze, tembardziej, że jest on główną dziś atrakcyą. I słusznie! Dyrektor Teofil Trzeński idąc tradycyą najlepszych swych poprzedników, utrzymuje go na wyżynie prawdziwej wielkiej sztuki i dba o jego rozwój. Wystawienie takich sztuk jak „Adwent”, „Krag interesów”, dzieła Fredry, Krasińskiego itd. saszczyt przynoszą scenie krakowskiej. Dyrektor Trzeński okazał się istotnie dobrym dyrektorem, świetnym reżyserem i człowiekiem pełnym inicjatywy.

Wasz.

Kiereński, piastując urząd ministra sprawiedliwości poczynił szereg wyłomów w dyscyplinie wojskowej.

Nauczono przede wszystkim żołnierza nieufnie spoglądać na oficera.

Równocześnie akcyę swą prowadzi rada delegatów robotniczych, która zawiązała się w pierwszych dniach rewolucyi i w krótkim czasie czuła się tak pewną siebie, że wydawała rozmaite „prikazy”, czemu rząd nie umiał czy nie chciał przeszkodzić.

Taki „prikaz” Nr. 1 był fatalnym w dziejach armii rosyjskiej. Wzywał on wszystkie oddziały wojskowe do wybrania odpowiednich komitetów. Zadaniem tych komitetów była organizacya polityczna wojska i nawiązywanie stosunków z życiem społecznym kraju. Wniesienie polityki i agitacyi politycznej na front okazało się wrychle zgubnym. Na razie zaś rolę takich komitetów, które skwapliwie wybierano, pojęli żołnierze w ten sposób, że one mają usuwać i mianować oficerów.

Wprawdzie na odgłos tego rodzaju nadużyć „sowieci” wydał rozkaz Nr. 2, w którym zaznaczał, że „kwestya, w jakich granicach interesy organizacyi wojskowej mogą się pomieścić z prawem żołnierzy do wybierania własnych dowódców — zostanie oddana do rozpatrzenia osobnej komisyi” — jednakże przyznał komitetom prawo „veto” przeciw mianowaniu tego lub owego oficera.

Odtąd wszelkie gwałty, wykroczenia przeciw dyscyplinie, nieposłuszeństwo jawne były poniekąd sankcyonowane, a obok dowództwa wojskowego — powstawała jakaś inna władza o niejasnym zakresie działania, nie wiadomo, czy wyższa, czy niżej stojąca od komendy wojskowej — ciesząca się w każdym razie zaufaniem żołnierzy, którzy ją wybrali.

Trzeba się poza tym liczyć z psychologią żołnierza rosyjskiego. Jest to niepiśmienny, ciemny, ograniczony chłop. Głębszej treści rozporządzeń nie rozumie. Działa na niego jedynie forma zewnętrzna. Z punktu widzenia humanitarności i demokracji carski ustrój był zły, brutalny. Żołnierzowi nie wolno było palić na ulicy i w miejscach publicznych, nie wolno mu było chodzić do klubów i na zebrania, jechać w przedziale tramwaju, i t. d. Oficerowie mieli nakaz utrzymywania surowej dyscypliny przy pomocy kija. Żołnierz salutował swych przełożonych z całym nabożeństwem, przepisany ustawą.

Ale to dla żołnierza rosyjskiego było nieomal koniecznym. Podniesienie go na wyższy stopień człowieczeństwa musiało być dokonywane ostrożnie i powoli. Naruszenie nagłe i nieprzygotowane bodaj części dawnych urządzeń, zrywało odrazu pęta samowoli.

Od równouprawnienia z obywatelami przeszło wojsko rosyjskie natychmiast do zupełnego równouprawnienia ze swoim dowództwem, a następny krok do zajęcia wyższego od oficerów stanowiska był tylko kwestyą czasu.

Zaczęły się bardzo smutne czasy dla oficerów. Nie wiedzieli oni, jaka właściwie jest ich rola i co mają począć ze sobą. Rozkazy przez nich wydawane były niewykonywane. Niemieli powagi, odtąd autorytetem stały się wybieralne komitety. Żołnierz, który dawniej pozdrowiał ukłonem oficera na ulicy przechodził teraz z uśmiechem szyderycznym obok niego.

Na froncie trzeba było przemawiać, zachęcać, zaklinać, aby oddziały szły do ataku. Brało się

wówczas samemu karabin na ramię i szli oficerowie, świecąc przykładem męstwa i odwagi w pierwszym szeregu. Nierzadko nikt więcej za nimi nie poszedł. Już w pierwszych miesiącach rewolucji niemal połowa oficerstwa rosyjskiego śmiercią bohaterką legła na placu boju.

Jest to piękna karta w dziejach wojskowości rosyjskiej. Oficerowie swoją postawą w tym momencie zmasakrowali wszystkie winy, jakie ich stan płamiły dzięki niegodnym ich przedstawicielom. Kiedy wszyscy urzędnicy, żołnierze i robotnicy żądali od państwa podwyższenia pensji — jedni oficerowie ani słowem nie upomnieli się o wyrównanie ich gaż, chociaż warunki z dniem każdym stawały się gorsze.

I nie tylko od kul wroga marli. W Sewastopolu, w Kronsztadzie, na wszystkich frontach byli więzieni, spotwarzani, mordowani przez własnych żołnierzy. Szli wówczas z rozpaczą do walki, aby sławniejszą śmierć znaleźć. Uciekali nad Don, do kozaków lub na Syberyę.

Bolszewicy dokonali reszty. Komu oszczędzili stryczka lub kuli, tego puszczała w świat, odmawiając mu pensji i zapomóg, jak ostatniego nędzarza. Wówczas widziało się na ulicach dawnych oficerów w podartych szynelach, z poodrywanymi odznakami sprzedających gazety, tytoń, papierosy, zapalniczki. Wielu z nich zgłaszało się na stróżów nocnych. Inni szukali gdzieś indziej jakiegokolwiek zajęcia.

Nie oszczędził im los niczego. Patryotom i dzielnym żołnierzom — klęski ich ojczyzny, dowódcom — pohańbienia z rąk własnych żołnierzy, innym znów śmierci — nierzadko strasznej i okrutnej.

Zabójstwo głównodowodzącego gen. Duchonina! Jakże ono wstrząsnęło całą Rosyą. Chorąży Krylenko został mianowany wodzem naczelnym i przyjechał do głównej kwatery, aby odebrać władzę od gen. Duchonina. Ów oczekiwał go w swoim pociągu. Krylenko po rozmowie z nim wyprowadził go na schodki wagonu. Rozbestwiona tłuszcza rzuciła się w tej chwili ku generałowi, porwała go i wyrzuciła w górę na bagnety. Bezkształtną masę wyrzucono na kupę śmieci.

Ciężki los rozmiótł oficerów rosyjskich po całej Rosji, rozrzucił ich jak zbyteczne łachmany — podarte, nędzne. Oni to jeszcze — ci rozbitkowie, którzy pozostali uciekli pod sztandary Aleksiejewa i Kołczaka, aby walczyć o honor i ocalenie kraju. Najlepszych, najdzielniejszych niema już wcale. Gdy dziś czytamy, że na czele zreorganizowanej armii bolszewickiej stoją dawni carscy generałowie i oficerowie, to są to wszystko nazwiska zauszników Mikołaja II., takich, którzy przy pierwszej sposobności zdradzą Trockiego, jak zdradzali całą Rosję na rzecz Niemców.

Tacy, którzy wiedli powstańcze wojska w pierwszy dzień rewolucji ku odrodzeniu narodu i stanowili sam rdzeń armii — albo zginęli śmiercią bohaterką czy męczeńską, albo błakają się gdzieś po zakamarkach życia rosyjskiego, wstydząc się tego, że kiedykolwiek doradcami byli — swoich żołnierzy.

Jan Parandowski.



ARTUR SCHRÖDER.

Żołnierz polski w plastyce.

(Szkice).

Postać żołnierza polskiego pojawiła się już dawno w malarstwie światowym, a co ważniejsze wcześniej w malarstwie zagranicznym, niż w naszym. Łatwo to wytłumaczyć jeśli się zważy, że malarstwo sztalugowe w pełnym tego słowa znaczeniu datuje się w Polsce dopiero od drugiej połowy 18. wieku. O wiele już wcześniej spotykać można na starych obrazach holenderskich postaci szlachciców polskich przy karabeli, ich zbrojnej służby, Lisowczyków, Kozaków, pachołków. Nieraz w takich holenderskich widokach miast wśród tłumu zebranego na rynku nagle pojawia się taki zbrojny Sarmata z podgolonym łbem i jego również zbrojny towarzysz. Zdaje się, że malarze holenderscy dość często mieli sposobność ich obserwować gdyż szlachta polska jeździła z pszenicą swoją do Gdańska, skąd udawała się do Holandii i dalej nawet. Mieliśmy od dawna żytkę podróżowania, owego tłuczenia się po świecie, które potem przemieniło się w manię.

Te wszystkie jednak postacie uwiecznione przez mistrzów zagranicznych, nie były jeszcze żołnierzami w zwykłym tego słowa znaczeniu, gdyż żołnierz, jako typ specjalny, wyrobił się u nas później. Dopiero wielkie bitwy światowe, jak odsiecz Wiednia i wyprawy do obcych krajów dały poznać właściwego żołnierza polskiego, który stał się wdzięcznym tematem dla malarzy. Malarstwo francuskie, angielskie, włoskie, nawet hiszpańskie zna polskiego żołnierza z bitew, świetnych legacji, wjazdów, jak ów wjazd Ossolińskiego, który tak zachwycił Włochów i szereg znakomitych artystów.

Wojsko polskie, oficer i żołnierz, zajmuje wielkie miejsce w plastyce z chwilą rozstawienia oręża polskiego w bitwach napoleońskich. Tu pierwsze miejsce zajmuje Francja. Szarże polskie, potyczki, przeglądy, parady, wizerunki wodzów i grup żołnierzy, zjawiają się w dziełach takich mistrzów jak: H. Vernet, Dutertre, M. Grange, L. Gardette, Gerard, Lejeune, Grenier, Detaille, Philippoteaux, Bocher d'Albe, Nodet, Meissonier, Cibot i tylu, tylu innych, dalej w malarstwie niemieckim, hiszpańskim, włoskim nawet rosyjskim (Wereszczagin).

Z naszych malarzy dawniejszych i późniejszych wymienić należy mniej znanych Oleszczyńskiego, Łukomskiego, Mielcarewicza, Brodowskiego, M. Stachowicza, Kurowskiego, a potem całą falangę innych, wśród których błyszczą najświetniejsze nazwiska znanych naszych mistrzów.

Przedtem jeszcze wielki mecenas sztuki w Polsce, nieszcześliwy Stanisław August Poniatowski, przez sprowadzenie takich Lampich, Bacciarellich i założenie malarni nadwornej, przyczynił się nie mało do uwiecznienia żołnierza polskiego w sztuce naszej.

Odrębny typ żołnierza zjawia się z powstaniem armii Kościuszki, obok zaciężnego, chłop w sukmanie i szlachcic w kubraku — tacy jakich widzimy na tyłach obrazów polskich malarzy, znanych niemal każdemu dziecku.

To wszystko była jeszcze armia regularna z dodatkiem niejako „pospolitego ruszenia“. Resztki tej armii regularnej widać w dziełach mających za temat rok 1831. Jest to jeszcze bądź co bądź żołnierz, owa cząstka wielkiego mechanizmu militarnego w pa-

radnym często stroju, wyćwiczony, uzbrojony prze-
ważnie jednolicie. Malarza zajmuje tu więcej strona
jeśli tak można powiedzieć dekoratywna, mundur,
armaty, szamerunki, psychologiczna strona zaś prze-
jawia się tylko najczęściej w podkreśleniu dzielnej
postawy i nieugiętej miny bohatera.

Zmienia się to wszystko z rokiem 1863. Znik-
nęły pyszne mundury i broń jednolita, zjawia się od-
rębny typ powstańca, szara, smutna postać, z kara-
binem, dubeltówką lub jednorurką — typ unieśmier-
telniony przez Grottgera. Tu strona psychologiczna
gra już główną rolę. Twarz boleśnie zacięta, w oczach
błysk rezygnacji, w całej postaci czuć trudy, krycie
się po lasach, głód, przymieranie z zimna i źle opa-
trzonych ran. Dawna świetność i fantazyja zniknęły,
a miejsce ich zajęły ofiarność i nieznająca granic, mę-
czeństwo i pęd na zabicie.

O żołnierzu polskim głucho potem; zakuto go
w pruskie, austriackie i rosyjskie mundury. — Od-
rębny mundur, to strój sokołów, które miały być ka-
drami w przyszłości formującego się wojska pol-
skiego.

Wojsko polskie!... Marzyliśmy o niem w „długie
narodowe noce“, w podziemiach praca się przygo-
wywała, wśród agitatorów za niem w ostatnich cza-
sach zajął naczelne miejsce Piłsudski, dusza i mózg
związków strzeleckich. Ogólna wojna światowa po-
zwoliła na urzeczewienie tych marzeń. Austria
i Prusy, widząc jaki materiał jest w tych związkach
i chcąc chytrze wyzyskać rozpęd Polaków rwących
się do wojny z zniechęconą Rosją, zgodziły się na
utworzenie Legionów polskich, których nazwę zmie-
niano kilkakrotnie. I w jednej niemal chwili wyrósł
nowy typ żołnierza polskiego, który wziął w spadku
po przodkach rycerską fantazyję, bitność budzącą
zachwyt i podziw u wrogów, szaleńczą odwagę.
Szary mundur, czapka z Orłem polskim, a przede-
wszystkiem krzepkość postaci i twarzy, z których
bije radość, iż oto dane jest znowu walczyć żołnie-
rzowi polskiemu pod własnymi znakami o wolność
Ojczyzny, dały malarstwu polskiemu nowy życiodajny
temat. Jeszcze dziś ten temat nie jest wyzyskany, mimo
setek obrazów i szkiców. Kiedyś w spokojniejszych
czasach pow tanie z niego odrębna gałąź malarstwa.

Legiony dały różnorodny typ żołnierza, bo też
różne było umundurowanie, które obecnie jeszcze
przechodzi zmiany. Żołnierz dawny Legionowy, żoł-
nierz z Poznańskiego, z armii Hallera — jakaż to
galerya typów i ubiorów, które powinny być uwie-
cznione! Do tego dodać by też należało Legiony pol-
skie tworzone w Rosji i polskie oddziały walczące
w latach 1915, 1916, 1917 i 1918 w szeregach fran-
cuskich.

Ostatnio przybył na froncie lwowskim specjalny,
odrębny typ małoletniego żołnierza w mundurku
gimnazjalnym z karabinem w ręce i żołnierza-kobiety.
I o nich polskie malarstwo zapomnieć nie może, jak
ich nie zapomni cała Polska, dla której tak ofiarnie
krew swoją przelewali.

Do niniejszego, bardzo pobieżnego szkicu nie
należy wprowadzić inna kwestya, która jednak łączy
się organicznie z typem żołnierza polskiego i którą
powinni uwzględnić i uwiecznić na pamiątkę nasi ma-
larze; idzie mianowicie o wojenny pejzaż polski,
o placówki w polu i w mieście, o te krwawo zdoby-
wane załomy uliczne, gmachy i domy. To będzie kie-
dyś bardzo poszukiwany sztafaż do przyszłych obra-
zów z dziejów sławnego polskiego oręża.

Ze sztuki.

Trudno o niej mówić we Lwowie, ciągle ostrze-
liwanym granatami ukraińskimi. Cały szereg miesięcy
lokal Tow. Przy. Sztuk pięknych był zamknięty, ró-
wnież i „Zachęta“, nie mieliśmy zatem ani jednej wy-
stawy. Za to namnożyło się znowu składów ramiar-
skich, reklamujących swe sklepiki jako „salony“ (!)
sztuki. I e szkody ponosi wskutek tego sztuka polska
i jej odbiorcy, łatwo zrozumieć. W handlach tych są
przeważnie obrazy bardzo małej wartości, a ceny ich
są poprostu horrendalne. Szerokie koła publiczności,
nie znające się na sztuce, zakupują liche rzeczy, pła-
cąc za nie sumy, za które można nabyć dzieło war-
tościowe.

Dlatego też z zadowoleniem należy powitać fakt
otwarcia wystawy w dobrze zorganizowanym i wzo-
rowo prowadzonym salonie sztuki współczesnej „Za-
chęta“ przy ulicy Karola Ludwika 1. 7. I p.

Obecna wystawa, która doszła do skutku wśród
najcięższych warunków, zdołała mimo wszystko zgro-
madzić materiał ciekawy i nie przeciętny. Oprócz
dzieł artystów lwowskich, znajdujemy na niej obrazy
malarzy krakowskich, warszawskich — ponadto dzieła
mistrzów starszej generacji.

Naturalnie nie jest to jakaś planowo urządzona
ekspozycja sztuki polskiej plastycznej, lecz doryw-
cze zebranie materiału, jaki można było pozyskać.
Jakkolwiek jest, wystawa ta warta jest oglądnięcia
i może choć w części przyczyni się ona do ożywie-
nia ruchu na tem polu.

Zarząd „Zachęty“ przystąpi niebawem do urzą-
dzenia większej wystawy, o ile na to pozwolą obecne
stosunki. (as)

.....
HENRYK CEPNIK.

Teatr żołnierski.

Poruszam sprawę, która nie powinna przejść
bez dyskusji. Idzie o stworzenie teatru dla żołnie-
rzy. Mamy już rozmaite urządzenia kulturalno-oświa-
towe dla żołnierzy, które choć bardzo jeszcze świe-
żej daty, zaznaczyły się już tak dodatnio na polu
kształcenia umysłowego żołnierza polskiego, — dla-
czego nie pomyśleć by o stworzeniu takiej instytu-
cji, jak teatr żołnierski! Nie jest to zresztą myśl
nowa, bo teatr tego rodzaju dawno już doczekał się
realizacji w innych krajach, we Francji przede-
wszystkiem, gdzie ma ona już za sobą bardzo cie-
kawą przeszłość. Wspomnieć tu warto choćby o słyn-
nym w swoim czasie teatrze żuawów, który dawał
przedstawienia podczas oblężenia Sebastopola w
wojnie krymskiej. O teatrze tym rozpisywano się
wówczas w prasie całego świata i podziwiano dziel-
nych żuawów, którzy nie zważając na latające nad
głowami pociski z armat rosyjskich, z niezmaconym
spokojem dawali folę swym amatorskim upodoba-
niom i popisywali się wśród gradu kul przed swymi
towarzyszami broni na prymitywnej scenie w ro-
zmaitych komedijkach, a nawet w dobranych od-
powiednio utworach poważnej treści. A choć zda-
rzało się nieraz, że w najbardziej interesującym miej-
scu musiano to lub owo przedstawienie przerwać
z powodu zranienia któregoś z wykonawców, nie
zdołało to wcale ostudzić zapału innych grających;
zmieniano na poczekaniu program i rzecz była za-
łatwiona.

Namiętne zamiłowanie Francuzów do widowisk teatralnych ujawniło się także w czasie wojny francusko-pruskiej, a ujawniło się w sposób niezwykle charakterystyczny, bo w postaci teatrzyków, urządzonych w obozach jeńców francuskich. Szpandawa, Szczecin, Ingolsztad były siedzibą tych teatrzyków, a umieszczeni w Szpandawie jeńcy wydawali nawet swój własny organ teatralny p. t. „Prometeusz”. W jednym z numerów tego czasopisma, stanowiącego unikat prawdziwy, wyczytać można następującą charakterystyczną wzmiankę: „Tardieu, grający rolę amantek, jest istotnie godny podziwu. Umie poruszać się cudownie w sukniach kobiecych umie także naśladować ludzako zachowanie się kobiet. Łączy on gracyę księżny z szaloną pustotą subretki. Gra jego jest pełna ognia i gdyby głos jego nie miał basowego zabarwienia, możnaby go w rolach kobiecych wziąć za prawdziwą kobietę”. Nadmienić należy, że ów teatr w Szpandawie był odwiedzany tłumnie przez publiczność z miasta i miał z tego źródła wcale pokaźne dochody, które szły na potrzeby internowanych w obozie żołnierzy francuskich.

Za czasów Boulanger'a, w latach 1874—80, powstały w rozmaitych miastach francuskich teatry garnizonowe, dostępne także dla publiczności cywilnej, z których dochód przeznaczano zazwyczaj na cele humanitarne. Później teatry te poszły w zapomnienie, aż przypomniano je sobie znowu w ostatnich latach. Mniej więcej na dziesięć lat przed wojną europejską w prasie francuskiej wentylowano z ożywieniem potrzebę organizowania osobnych teatrów pułkowych o charakterze wyłącznie żołnierskim, t. j. przeznaczonych tylko dla wojska i z udziałem wykonawców rekrutujących się z pośród żołnierzy. Jako wyłączny cel tych teatrów wskazywano — odciąganie żołnierzy za pomocą teatru od innych, moralnie szkodliwych rozrywek.

Myśl tę zaanektowali zaraz Niemcy i w wielu miejscowościach, w których znajdowały się liczniejsze załogi, wprowadzili ją w czyn. Bliżej o tych niemieckich teatrach garnizonowych mi niewiadomo. Widocznie jednak przedstawiały one dobry interes, gdyż na kilka lat przed wojną jeden z dyrektorów wędrownego teatru wystąpił w pismach monachijskich z szczegółowo opracowanym projektem urządzenia teatru, któryby objeżdżał poszczególne garnizony i dawał przedstawienia wyłącznie dla żołnierzy. Podejmował się on dać w ciągu roku około 300 takich przedstawień, a dochód przy minimalnych cenach (1 marka 50 i 30 fen.) obliczał na mniej więcej ćwierć miliona marek. Co się stało dalej z tym projektem, nie wiem. To pewna w każdym razie, że przedstawiał on dla projektodawcy zupełnie pewny interes realny, który byłby dał grube zyski.

Wojna europejska — wbrew znanej maksymie: „inter arma silent musae” — okazała się dla teatru bardzo łaskawą. Nigdy teatrom lepiej się nie powiodło materyalnie, nigdy frekwencya publiczności nie była tak wielką, jak podczas tej wojny. Przyszły historyk naszych czasów będzie miał niezwykle interesujące zadanie przed sobą, gdy będzie wyświeślał przyczyny i podstawy tego niesłychanego wzrostu upodobań znekanej przejściami wojennymi publiczności w wszelkiego rodzaju widowiskach, szczególnie w widowiskach teatralnych. A upodobania te zaznaczyły się nietylko w t. zw. „hinterlandzie”, ale co ciekawsze, wśród walczących na froncie żołnierzy. Wojna wytworzyła osobny typ

niewidzianych i nieznanych przedtem teatrów wojennych, działających w bezpośrednim sąsiedztwie linii bojowej. O jednym z tych teatrów, utworzonym na froncie wschodnim przez pułk „Dzieci krakowskich”, na podstawie dostarczonych mi relacji i zdjęć fotograficznych pisałem w swoim czasie obszernie w fejetonach „Gazety Wieczornej” (nr. 3497—3501). A takich teatrów wojennych istniały setki, wszystkich zaś cel był ten sam — dać walczącemu na froncie żołnierzowi rozrywkę umysłową, a z rozrywką chwilowe bodaj zapomnienie jego ciężkiej, twardej doli.

I pod tym względem, o ile wiem od samych żołnierzy, teatry te okazały się prawdziwym dobrodzieństwem. Więcej jeszcze — wprowadziły one w zetknięcie z instytucją teatru tysiące takich, którzy przedtem teatru nie widzieli na oczy, zbliżyło ich do niego i pozyskały w nich już stałych zwolenników tej kulturalnej rozrywki. Obudziło się paprosu w szerokich masach zamiłowanie do teatru, które przedtem starano się w nie wpajać najrozmaitszymi sposobami, niezawsze skutecznie. I to raz rozbudzone zamiłowanie należy podtrzymać, a należy koniecznie ze względu na znaczenie, jakie ma teatr w oddziaływaniu na kulturę, oświatę, kształcenie humanitarne ludności. Dziś więcej, niż kiedykolwiek, należy uświadomić sobie, że teatr jest jednym z najskuteczniejszych czynników cywilizacyjnych, że więc trzeba, koniecznie trzeba udostępnić go jaknajszerszym masom, wyzyskać jaknajwszechstronniej jego działanie, stworzyć poprostu z teatru instytucję ogólnokształcącą. Nie teatr dla uprzywilejowanych, ale teatr dla wszystkich — to powinno być jednym z haseł epoki, w którą wступujemy obecnie. Jak książka, jak gazeta, tak i teatr powinien stać się dostępny dla każdego. Korzyści z tego mogą być olbrzymie, oczywiście /gdy ten teatr dla wszystkich będzie pojmował należycie swe zadania i obowiązki, a tylko taki teatr mam na myśli, teatr dobry, który kształci, nie teatr zły, który znieprawia.

Nam w Polsce, która do zbytku teatrów nigdy nie miała i nie ma, która przeciwnie w dziedzinie teatralnej stoi na szarym końcu wśród narodów kulturalnych, usilniej, niż innym, zabiegać należy o spopularyzowanie teatru wśród najszerszych warstw. W akcji, zmierzającej ku temu celowi, nie powinno zabraknąć miejsca na stworzenie teatru dla żołnierzy. Dziś jeszcze u nas wojna, więc nie czas na wprowadzenie tej myśli w czyn w całej jej rozciągłości. Ale wojna przecież skończyć się musi, a wtedy szary tłum żołnierski z placówek przejdzie na służbę garnizonową i wtedy zacznie się dla żołnierza polskiego, zwłaszcza w miejscowościach, oddalonych od środowisk ruchu umysłowego, życie monotonne, bezbarwne, szare, pozbawione wszelkich rozrywek i podnieć duchowych. W takich warunkach ileż to ludzi się marnuje, lub wręcz wykoleja! Zostawić biednego żołnierza w takiej atmosferze, w takiej pustyni duchowej rzucić go lekkomyślnie w objęcia szynkowni, hazardu, rozpusty — to byłoby okradaniem samych siebie, zubożeniem naszych sił społecznych i narodowych.

A na to jest tylko jedna rada, jeden sposób — postarać się o dostarczanie żołnierzowi rozrywek kształcących. Odczyty, koncerty, zespoły śpiewackie, czytelnie i teatr. Przedewszystkiem teatr, bo ten najsilniej pociąga i najsilniej działa. Niech to będą teatry amatorskie, o ile możliwości z udziałem samych

żołnierzy w roli wykonawców, ale niech ożywia je jakaś myśl, niech przyświeca im pewien cel wyższy. Bo i bawiąc, można kształcić. A idzie właśnie o to, aby te teatry dla żołnierzy wywierały wpływ kształcący, żeby dawały żołnierzowi pokarm duchowy, kształciły umysł, polerowały uczucia, wyrabiały poczucie obywatelskie, uczyły estetycznie czuć, myśleć i żyć. To wszystko osiągnęłoby się przez odpowiedni dobór repertuaru, który musiałby być planowo obmyślony i systematycznie rozwijany.

Należałoby w tym względzie pójść śladem, wytyczonym przez „Związek teatrów i chórów włościańskich“. Należałoby więc oprzeć te wszystkie teatry o jedną wspólną organizację naczelną, którąby nimi kierowała przez odpowiednio wyszkolonych instruktorów, bądź jeżdżących z miejsca na miejsce, bądź dobranych w tym celu z łona miejscowej inteligencji. Tylko przy takiej organizacji teatry żołnierskie i związane z nimi inne urządzenia kulturalno-oświatowe mogłyby należycie spełniać swoje zadanie. A stworzyć taką organizację da się bez trudu. Tylko trzeba chcieć.

Niezależnie od tych teatrów miejscowych mógłby powstać osobny, poważnie pod względem artystycznym prowadzony teatr żołnierski wędrowny, który objeżdżałby kraj cały i dawał wzorowe przedstawienia dla żołnierzy. Przy środkach, jakimi wojskowość rozporządza i ułatwieniach, jakich mogłaby dostarczyć, teatr tego rodzaju mógłby prosperować znakomicie i nie tylko opłacałby się doskonale, choć byłby teatrem tanim, dostępnym dla każdego żołnierza, ale dawałby nawet zyski, które możnaby użyć na wojskowe cele humanitarne.

W szczególności urządzenia takiego teatru nie wdaję się na razie. Rzucam jedynie myśl, zostawiając sobie jej rozwinięcie na później. Podkreślam tylko raz jeszcze ważną rolę, jaką tego rodzaju instytucja mogłaby odegrać w życiu żołnierza polskiego, a podkreślając ją, pragnę wywołać dyskusję na ten temat — na temat potrzeby stworzenia teatru dla żołnierzy. Bo uważam go za potrzebny i wierzę w jego doniosłe znaczenie dla kultury żołnierza polskiego.

MIECZYŚLAW OPALEK.

Na skrzydłach pieśni.

Naprzód drużyno strzelecka,
Sztandar go góry swój wznies;
Żadna nas siła zdradziecka
Zniszczyć nie zdoła, ni zgnieść!

Czy umrzeć nam przyjdzie na polu,
Czy w tajgach Sybiru nam zgnić,
Z trudu naszego i znoju
Polska powstanie, by żyć!

Gdy wśród maszerujących szeregów zerwą się te strofy, to w stanowczej rytmice swojej, w akcentach pełnych siły są jak odgłosy kuźnic, w których molarz cisnął na kowadło wszelkie złoto, krzywdę i niedolę, by z nich wykować formy bytu lepszego. Uderzają te strofy znagła, z ciężką hartu i są jak uporczywe stukoty przy wyrębywaniu przejścia, pośredkiem litych, spiętrzonych skał. W takt ich stanowczy maszerują szeregi, w takt ich muszkuły się

preżą, biją serca, a oczy nabierają barwy i lśnienia damasceńskiej stali.

Wielkie były krzywdy, luta naprawdę niedola, gdy z nich taka się zrodziła zawziętość, co to ani „siłom zdradzieckim“ folgować nie myśli, ani śmierci się w boju nie lęka i za nic ma sobie piekło tajg syberyjskich. I żarliwa, niezmierzona naprawdę jest wiara, która mimo wszystko, z uporem fanatycznego ukochania idei dogmat ogłasza:

Polska powstanie by żyć!

Nad pola zdeptane, których płód pracowity, kłosoziwo złote wojna sponiewierała, nad lasy, którym poprzetręcała konary, nad rany ziemi ojczystej i boleść ludzkich serc, podnosi się dumna, mocna w sobie pieśń. Obiecuje ziemi, że rodzić znów będzie w błogostawie i spokoju, że znów poletki jej spłyną złotem dorodnych kłosów. Sercom ludzkim obiecuje wytchnienie i ulgę po wszystkich dusznych niepokojach i mękach.

Zasię wierzyć trzeba w to, co pieśń mówi, bo strofy jej uderzają znagła, z ciężką hartu i są jak stukoty uporczywe przy wyrębywaniu przejścia, pośredkiem litych, spiętrzonych skał. W takt ich stanowczy maszerują szeregi, w takt ich muszkuły się preżą, biją serca, a oczy nabierają barwy i lśnienia damasceńskiej stali. Pieśń i człowiek stają się jednością, przetapiają się wzajem w syntezę woli.

I przeto pieśni wierzyć trzeba.

W dzień deszczowy i ponury
Z cytadeli idą góry,
Szeregami lwowskie dzieci
Idą tułać się po świecie.
Idą, idą na Warszawę,
Idą, idą w boje krwawe;
Bo już na nich tam
Czeka Moskał wróg,
A więc prowadź, prowadź Bóg

Nie znała ta pieśń koturnów, nigdy też nie miała ambicji sięgać do wyżyn podniosłych chorałów czy hymnów. Melodya jej przyszła do nas pono z operetką wiedeńską, rozbrzmiała pełnią tonów po kawiarniach, aż pochwycił ją zadyszany instrument przedmieścia — harmonia. A wtedy już śpiewał i światał ją Lwów cały, jak swoją własną, lekką, niefrasobliwą piosenkę.

I coś dziwnego, że gdy swojego czasu „trzydziestka“ ze Lwowa miała wymaszerować i znalazł się domorostły poeta, który w rymy pokusił się zakląć przeżycia ówczesne — coś dziwnego, że on Lwowiec sprawiedliwy podłożył tekst pod tę właśnie melodyę, na bruku lwowskim tak popularną.

Wkrótce pieśnią trzydziestki zabrzmiał Lwów cały. Boć melodyę znał każdy, a z przyswojeniem tekstu poszło nie trudno. Ach ten tekst, ten tekst! Słowo „błyszczący“ rymuje się tam ze słowem „tornistrze“, „ręce“ z „więcej“, a każda strofa poszczególna jest epizodem. Lecz któżby szukał w nim przenośni poetyckich, któżby szukał form niezwykłych, gdy nie cyzelował go żaden mistrz świadom tajemnic kunsztu mowy związanej. Bezpretensjonalny ci to był śpiewak przedmieścia, ów autor „Pożegnania Lwowa“. Zdarzyło się po prostu, że sentyment w czas osobliwy przepełnił mu serce po brzegi. Więc on jak czuł, jak umiał zaśpiewać po swojemu, przy akompaniamencie przedmiejskiej harmonii.

Słyszały tę pieśń pola pod Kraśnikiem, słyszały ją poszarpane urwiska Serbii. Poniosła się melodya

i rytmy proste pod Nowy Sącz, nad Nidę, pod Mołotków i Rafajłową między legionistów. Niewyszukane strofy odpowiadały dziwnie psychologii żołnierza, bo mówiły popr. stu szczerze i lapidarnie to, co każdy przeżywał i odczuwał.

A już pochopnie, z nielada werwą i tupetem śpiewali pieśń tę Lwowianie, bo myśl w niej o mieście rodzinnem przewija się jak czuły nerw od serca biegnący, po przez wszystkie strofy.

Miłość żołnierska chodzi zawsze w parze z tęsknotą. Twarde prawo wojenne odrywa żołnierza od bogdanki i pędzi go daleko po świecie. Świąteczka dziewczęcych oczu, włosów zapachy i pocałunków upojne haszysze idą za wojakiem jako słodkie jeno przypomnienie, drażniące serce niepokojem i tęsknotą.

Haniś, moja Haniś,
Cóżes za Hanisia.
Żeś mi nie podała
Rączki na konisia!

Rączki na konisia
Na mego kasztanka,
Haniś, moja Haniś,
Cóżes za kochanka!

— Ale chociaż przepomniałaś chłopaka swego pożegnać, słuchaj Haniś, co ci dokumentnie na „feld-post“ napiszę:

„Latają ci tu nad Nidą nad nami śrapnele, niczem kule ogniste. Ma ci taki śra nel palnik aluminiowy piękny jak ze srybła. Wyrobiłem ci śniego akuratnie i szykownie dwie ślubne obrączki. Przywiozę obrączki, jak na urlop przyjadę. Pójdziemy se na tatusiów pole i tako ci rzeknę albo lepiej zaśpiewam po naszej, to jest po strzeleckiej modzie:

Podajże mi rączkę
Przez zieloną łączkę
Podajże mi rączkę,
Weź moją obrączkę.

A ty Hanisia nie będziesz markotna ani gniewna, weźmiesz obrączki i do ksiendza zanieziesz. A potem, to już świat cały do nas należy... potem... o retę...”

Rozmarzył się chłopak na dobre, a tu nijak sercu dać folgi.

— Psiakrew — spluwa. Wali przytem w kark kolegę w ziemiance i krzyczy:

— Antek! Masz jeszcze żdziebko rumu w manierce? Dawaj brachu!

Miłość żołnierska chodzi zawsze w parze z tęsknotą.

Wojenko, wojenko,
Cóżes ty za pani?
Że za tobą idą
Chłopcy malowani...

Tak z nią swobodnie, bez strachu pogwarzać potrafi tylko legionista. Zdobywa się wobec niej na jakieś czułe liryczne akcenty i zdrobniale, pieszczotliwie imię jej wymawia. Ach dla innych jest ona straszliwą Belloną, której Wergiliusz dał w ręce płomienną pochodnię i krwią ociekający bicz. Dla legionisty zostanie tylko... wojenką. Idzie za nią, bo pani to można i władna, co czar nań rzuciła. Pokochał ją, pochlebia też sobie, że wzajemność zyskał on „chłopców malowanych“.

Wojenko, wojenko,
Jakaś ty szalona!
Kogo ty pokochasz,
Jeśli nie legioną?

Jedzie jedzie na kasztance
Siwy strzelca strój,
Hej, hej komendancie,
Miły wodzu mój!

Przejeżdża komendant ze sztabem przed szeregami, a wiara wpiera się weń kochającymi oczyma. Zawisło na „dziadku“ tysiące młodych dufnych spojrzeń. W czym urok tu się kryje, gdzie tajemnica tego zawojowania serc, że oczy za wodzem snują się wiernie i uparte — niczem ich nie spłoszyć, niczem nie odegnąć.

Raz źrenice jedne żywiej zamigotały cichem wzruszeniem, raz serce jedno gwałtownie zaatakowało piosenki i sercu posłuszna zrodziła się prześliczna pieśń bezimiennego autora. O wodzu ona śpiewa, co nie zna szychu „lampasów i czerwieni“, ale „pod szarą bluzą ma serce ze złota“. Królewskie jego oczy groźną błyszczą wolą — więc jak się oprzeć, jak karnem sercem żołnierskiem nie iść ku niemu, jak nie wytrwać przy tym sztandarze, który on „groźną wolą“ wyniósł z poniewierki w domu niewoli na szaniec walczącej Polski!

Pójdziem z tobą po zwycięstwo
Poprzez krew i znoj,
Hej, hej komendancie
Miły wodzu mój!

STEFAN RAYSKI.

Szkice lwowskie.

Pod gradem kul.

Nad miastem rozszalała się burza...

Potężny, nieprzerwany huk wstrząsa ustawicznie poszczerbionymi murami, ziemia drży w posadach...

Na ulicach pustka... Gdzieś tam tylko przesunął się trwożna postać przechodnia, by zniknąć w tej samej jeszcze chwili za pierwszym lepszym wylotem ulicy... Przeróżny huk nie ustaje ani na chwilę... Przeróżne pogłoski chodzą po zniekanym mieście. Jedni mówią, że to magazyn amunicji wyleciał w powietrze, drudzy, że to z pewnością generalny szturm Ukraińców... A tymczasem — raz po raz uderzają pociski wraże w bruki i domy oblężonego miasta, ryjąc głębokie bruzdy i zmieniając niemal do niepoznania jego zewnętrzny wygląd...

Tam granat uderzył w ścianę jakiegoś domu, tu znowu wyłobilił głęboki wyłom w chodniku, a za każdym razem słychać — jakby złowrogi odzew tej strasznej muzyki — brzęk spadających szyb i tłuczonego szkła...

W powietrzu duszno i ciężko... Jakaś okrutna zmora zawisła nad Lwowem...

A wtem — patrzę i oczom nie wierzę — wśród tego piekła, pod gradem kul maszeruje dziarsko śródkiem ulicy — szczupły oddziałek naszych żołnierzyków... Przeważnie młodzi chłopcy... Dzieci niedłwie... Ulice, jak wymiół, lecz oni — przyzwyczajeni już widocznie do tego rodzaju niebezpieczeństw maszerują, jakgdyby nigdy nic, pomimo, że tuż obok — pod ich stopami niemal — pękają z traskiem ukra-

ińskie pociski. I za chwilę rozlega się wesoła, a równocześnie tak smutna piosenka:

Wojenko, wojenko — cóż ty za pani,
Ze za tobą idą chłopcy inawowani?...“

Oddalają się krokiem miarowym, żołnierskim i tylko echa piosenki dolatują z oddali, mieszając się z potwornym rykiem dział nieprzyjacielskich...

Ulica lwowska.

...Stała się w ostatnich czasach jakaś inną — bardziej swojską, niż przedtem...

Nie tak dawno jeszcze, jak przechadzali się po niej butnie i szorstko — oficerowie „cesarskiej“ i „cesarsko-królewskiej“ armii, nie tak to dawno, jak na ulicach przeważały obce, wrogie mundury...

A teraz? Znikły one bezpowrotnie — na zawsze.

Aż dusza rośnie, gdy sięgnąć myślami wstecz i rozważyć ten ogrom wydarzeń, jaki w ostatnich miesiącach przewalił się nad nami i nad miastem... Lwów — był zawsze miastem polskim i — pozostał nim, choć gościł w swych murach niejednokrotnie przeróżnych gości...

Też w czasie samej tylko obecnej wojny mieliśmy tu i Austriaków i Moskali i Niemców, aż wreszcie przyszedł najpotworniejszy z wrogów — Ukrainiec... Lwów — ostał się wszystkim najazdom i inwazyom...

A teraz — oddecha własnem swojskiem powietrzem... I chociaż wróg — tuż pod miastem, choć nie ukończone jeszcze krwawe zapasy, ulica Lwowa żyje nowem życiem... Tam, gdzie dawniej „urzędowali“ Pfeffer, Riml, kat Letovsky i sfera hyen austriackich, które czyhały jedynie na sposobność, by nas zniszczyć na naszej własnej ziemi. — obecnie mieszczą się komendy — polskie!...

Przed budynkami ruch... Tam i napowrót biegają skauci i ordynansi, roznosząc rozkazy... A ulica — patrzy na to i weseleje...

I tylko, gdy spadające od czasu do czasu granaty przypominają jej, że Lwów jest miastem, położonem na froncie, staje się ponura i smutna...

Smutna, ale tylko na chwilę... Bo — gdy ogień działowy ustanie, ożywia się znowu i zaludnia tłumami mieszkańców i barwnymi mundurami polskich oficerów i żołnierzy.

W ogniu wykuwa się nowy Lwów — żelazny — niezłomny — polski!...

Lwów, w marcu 1919.

Żołnierzowi polskiemu — polski Lwów.

Dnia 16. b. m. jawiła się u dowódcy załogi lwowskiej jen. Jędrzejewskiego deputacya ludności cywilnej m. Lwowa, złożona z prezydenta miasta p. Neumanna, wiceprezesa Tow. Dziennikarzy pol. p. Laskownickiego i prezesa Koła lit.-art. p. dr. Vogla celem złożenia dowódcy załogi lwowskiej, głównemu dowództwu, wszystkim oficerom i żoł-

nierzom życzenia z okazji zbliżających się świąt Wielkanocnych. Prezydent Neumann przemówieniem podniósł łączność ludności cywilnej Lwowa z jego obrońcami i wręczył odezwę, podpisaną przez Ks. biskupów, prezydum miasta, przedstawicieli najwyższych naszych uczelni i zarządy około 60 zrzeszeń, reprezentujących tysiące członków, wyrażającą żołnierzowi polskiemu uznanie i wdzięczność.

Jen. Jędrzejewski w odpowiedzi wyraził zadowolenie z postawy ludności cywilnej i przyrzekł deputacyi, zamieszczenie odezwy w rozkazie z poleceniem odczytania jej na frontach.

Odezwa wspomniana opiewa:

W złotych promieniach wiosennego słońca zbliża się ku nam święto Zmartwychwstania Pańskiego — tem uroczystsze i radośniejsze, że po raz pierwszy od półtora wieku obchodzić je będziemy w wolnej i niepodległej Polsce. Przeto serca nasze, przepojone szczęściem ziszczonych snów i marzeń całych pokoleń, co trudem i maziem, męczeństwem i ofiarą, przez morze łez i krwi zdążały ku temu celowi — z uczuciem wzniosłej dumy i bezgranicznej wdzięczności zwracają się ku Tobie, Żołnierzu polski, ośwobodzicielu nasz i obrońco, nadziejo i chlubo Narodu!

Ze wszech stron Polski przybieżałeś tu na Kreś, by wspólnie z dziećmi tego odwiecznie polskiego grodu bronić przynależności jego do Rzeczypospolitej, jego czci i godności a tam samem honoru i niepodzielności Ojczyzny. Od pięciu miesięcy masiaka krwią Twą serdeczną ziemia dokoła Lwowa, obleżonego przeważną nawałą nieprzyjacielską. Zapisali się w historji tych bohaterkich walk imiona pacholat i młodzieńców, którzy padli u bram rodzinnego miasta, imiona niewiast i dziewcz polskich, co lwją odwagę prześcignęły, imiona szermierzy nieustraszonich, co odnowili najświetniejsze tradycje polskiego rycerstwa, raz w raz zwycięzko odpięrajac zakusy chytrego a przemożnego wroga.

W tej wiekopomnej obronie drogiego nam miasta, na którą świat cały patrzy z podziwem, każdy dzień świeżym laurem oplata Tobie uznojone czoło, Żołnierzu polski! Twoje bezprzykładne męstwo i poświęcenie dodaje nam mocy wytrwania wśród najcięższych warunków, bo napawa nas otuchą i wiarą w niechybne ostateczne zwycięstwo. Puklerzem nam jesteś i tarczą ochronną — a równocześnie budowniczym wielkości, potęgi i chwały umiłowanej nad wszystko Ojczyzny.

A jak ten prastary polski gród zachowa po wieki we wdzięcznej pamięci, iż piersią Twą osłoniłeś go przed najeźdźcą — tak z pewnością przeminie, gdy nie zapomni Polska Twoich, Żołnierzu nasz, zasług, Twego bohaterstwa, przede wszystkim zaś tego, że tak wysoko dźwierzysz Jej nieskalany sztandar, że Imię Jej masz nie tylko na ustach, ale w sercu, że nie jesteś bezdusznem, bezwonnem wojennym rzmiosła narzędziem, ale świadomym, ochotnym, karnym bojownikiem wolności i szczęścia Twego Narodu — i takim zawsze i wszędzie pozostaniesz! Jak żadne natarcie nieprzyjacielskie nie pokona Twego męstwa, tak daremne byłyby też wszelkie usiłowania, które jad zaszcześcić chciałyby w Twej duszy i Twą polskość Żołnierzu nasz polski, w niej nadwzględic, zabić.

Dziś w zwycięzki Twój znak zapałtrzeni, obok czci i hołdu niesiem Ci serc naszych daminę z tem

gorącym życzeniem, byś — wywalczywszy ostrzem Twego bagnetu chwalebny pokój — mógł niebawem powrócić w Twe rodzinne progi i zażywać dobrze zasłużonych owoców, okupionego Twoją krwią i Twoim potem zwycięstwa.

JUTRO.

Przezemnie droga w miasto utrapienia
Przezemnie droga w wiekuiste męki
Przezemnie droga w naród zatracenia.

Słowa te były wyryte na bramach, które Dante, gdy z Virgillem wchodził do piekieł, czytał, by obaczyć to dzieło wszechwładnej ręki, które potem w Boskiej opisał komedyi. Te słowa można zastosować do dni obecnych, do tej wojny, którą przeżywamy. Nie jest — że ona miastem utrapienia? Nie jest — że drogą trudu i męki i czy nie prowadzi syna człowieka w zgubę zatracenia? Straszna ta wojna, jakiej dzieje ludzkości nie pamiętają, szaleje już rok piąty. Tragedya ta rozgrywa się na ziemiach starej Europy, tej kolebki nowożytnej cywilizacji. Morzem krwi i trupami zasała swe pola, zryte huraganem ognia i żelaza, otuliła je chmurami dymów palonych wsi i miast i wszędzie gdzie szła, zostawiła za sobą ruiny, zgłiszczą i mogiły. Cały dobrobyt ludzkości cofnęła wstecz o lat wiele. Nietylko to jednak mamy tej wojny do zawdzięczenia. Gorsze od ran i zgłiszcz zadała rany ludzkości. Zdeprawowała, zdemoralizowała ją — a narodu duch zatruty, to dopiero bólów ból. Jak dziś wygląda ta kultura, o której się tak wiele mówiło, gdzie się podziały te dawne cnoty, uczciwość, moralność i miłość dla drugich. Wszystko to znikło, uleciało gdzieś w dalekie sfery a pozostał brud, występki i zdżyczenie obyczajów. Krew i śmierć, tak oswoiła ludzi, że nie robi już na nich wrażenia. Boleści, jęki rannych nie przerywają im snu spokojnego. Dziś każdy pędzi za chytrym zyskiem, pragnie jak najprędzej się wzbogacić choćby z krzywdą najbardziejniejszych. Życie człowieka nie więcej warte nad garstkę prochu i kawałek ołowiu. W miejsce człowieka została hyena, łaknąca krwi. I patrząc na tą ludzkość tak zdeprawowaną, od młodzieży do starców, od małych dziewczątek do niewiast, od prostych a nieokrzyszanych, aż do tych najwyższych w hierarchii społecznej, bierze nas lęk, jak ta przyszłość, która się nam uśmiecha z daleka, będzie wyglądać, jakie będzie to jutro upragnione. Czy takie same zbrodnicze, ohydne, niemoralne, występne, czy zniknięcie łańcuch krzywd, czy zaświta lepsza, szczęśliwsza dola dla znękanej ludzkości, wyzyskiwanej na każdym kroku i w każdym kąsie chleba. Czy ludzkość się poprawi, wejdzie w siebie i zapyta, się swego sumienia, czy tak być powinno? że krzywdą nagrodzoną będzie a miłość wszechzbrodni warta. Czy ruszy się sumienie zatwardziałego grzesznika, czy nastąpią dni pokuty, skruchy i prawdziwego żalu. Czy ludzkość odetchnie od tej zmory, dławiącej ją od lat pięciu, czy zniknie ten szal użycia, to wyuzdanie i rozpasanie, to pozbawienie wszelkich lepszych uczuć, dobrego serca i ludzkość uwierzy znów, że są inne lepsze i szlachetniejsze drogi od tych, na których dotąd kroczyła. I czy serce otworzy swe podwoje dla wszystkich krzywdzonych i upośledzonych i zapanuje znów na ziemiach pokój i błogostawieństwo. W to wierzyć nam

trzeba, że przyjdzie, przyjść musi odkupienie i zmażanie win, że to nowe jutro będzie lepsze od dnia wczorajszego. Po każdej wielkiej zawierusze dziejowej, po zbrodniach, występkach, jak po ulewnej nawałnicy, stanie barwna tęcza i oprze się ten łuk na dwu horyzontach i złączy je razem, a słońce wejdzie z zachmur brzemiennych ołowiem, powietrze się odświeży, by łatwiej pozwolić oddychać pierśmiom umęczonym. I wyprostują się zgięte członki, że krew żywiej pulsować będzie, a myśl uciśniona w nowe oblecze się szaty i nieznanym płomieniem wybuchnie dusza ludzka. Tak być musi, bo takie jest prawo natury, że po burzy słońce świeci, że po zimie następuje wiosna, a po burzach życia, ukojenie i nowe odrodzenie. Jeden przykład wydarty z księgi dziejów ukaże nam tę prawdę. Po wojnach napoleońskich, toczonych na wszystkich krańcach ziemi, od śniegiem pokrytych stepów Rosyi aż po skaliste złomy Pirenejów, pod pogodnym włoskiem niebem aż po spieczone żarem słońca piaski Egiptu szła wojenna kurzawa. Tysiące młodych istot przestało żyć, tysiące grobów przybyło ziemi. I wtedy było rozpasanie, krzywda ludzka świeciła swój tryumf. Aż sam szatan cieszył się ze swego dzieła, którego może nawet nie przypuszczał. I gdy zbliżała ta błyszcząca gwiazda, gdy wielki mocarz, przed którym drżały trony i w proch się sypały korony osiadł na skalistej wyspie wśród wzburzonego morza, kiedy nastał pokój na ziemi, przyszło otrzeźwienie i ekspiacya za wszystkie występki. Barwna tęcza pokoju stanęła na niebie. Duch ludzki otrząsł się z kajdan występku, wejrzał w siebie, zrozumiał jak bardzo zbłądził i począł żałować za grzechy. Dawne hasło przestało budzić wiarę. Na miejsce ich postawili na ołtarzu miłość, którą przez lat tyle pogardzano. Znać to w literaturze i sztuce, tam romantyzm ze swoją uczuciowością z ukojeniem ludowego, rodzimego pierwiastka, co prostej wiejskiej dziewczynie każe zostać hrabiną, a w lud wysła emisaryuszy, by głosili nową ewangelię.

W sztuce objawia się nowy zwrot, od uwielbienia starożytnego świata i akademizmu do nowych hasel miłości, wiary i nadziei, które głoszą Nazarejczycy w Rzymie. Na gruzach starego życia powstały nowe, bo prawo natury żąda nie zniszczenia, ale przistoczenia, i odnowienia w nowym jutrze świata. Znie-nawidził zbrodnie i złość, a ukochał ukojenie, szlachetny trud i miłość, odczuł radość życia uczciwej, spokojnej pracy i w błogiem używaniu owoców swych zabiegów w gronie rodziny.

Serce mu wzbierało radością, gdy z tymi, których ukochał, usiadł w skromnie umeblowanym pokoju o muślinowych firankach; spoglądał na okna z bzm i miętą, w rogu gdzie mieniły się barwne szklanki, na ścianach zdobne w portrety i sylwety, słuchał kurantu starego zegara czując się błogo w tym pokoju i szczęściu. Ludzkość zaś kajała się ze swych win i wyszła oczyszczona z odmetów, więc przyszło wyzwolenie z dawnych hasel i nowa epoka zapanowała na długie lata.

A dziś nowe występują hasła. Prawo samostanowienia naro ów, a obok tego podnosi głowę i opanował już część świata komunizm, piękny w zasadzie i teorii, oparty na miłości kuwydziedziczonym w całym tego słowa znaczeniu. By owładnął świat cały, i kolisko ziemskie na nowe pchnął tory, musieliby wszyscy ludzie tak fizycznie jak i psychicznie być jednakowymi. Ponieważ jednostka ludzka ma swe zdania, życzenia, pragnienia, trudno przewidzieć, czy może być zrealizowanym. Na razie świat się pławi jeszcze

w krwi, niszczyją ludzi i dorobek kulturalny dwóch tysięcy lat. — I jeżeli nie opanuje nowe te hasła rozsadek a szczególnie dobra wola, to wiele jeszcze mógł przybyć ziemi i dalej swój tryumf będzie święcić zbrodnia; a wyjdzie z tego chaosu nowa wiara, nowy pogląd na świat, na byt, na człowieczeństwo i nowe drogi wyznaczy ludzkości na dalsze tysiąc lat. Jakim on jednak będzie, jak się objawi w literaturze, sztuce i życiu ludzkości, dopiero dalszy rozwój ukaże. Po długim męczeństwie Pan zorze rozwiejdzie nad nami i uderuje czem aniołów swoich obdarzył przed wiekami, szczęściem i tem co obiecał ludziom na szczycie Golgoty — wolnością i na nią to, na to lepsze błogosławione jutro, czekamy z utęsknieniem.

Zejdź więc na padół płaczu, na ziemię mógł i krzyków i daj — jutro!

Dr. Stanisław Zarewicz.

Recenzje i sprawozdania.

Książki.

„Niech się spełni sprawiedliwość!“, szkic socjalny o nowym ustroju narodów, napisał dr. Karol Srokowski, Lwów, nakładem Autora, 1919.

Pod tytułem „Niech się spełni sprawiedliwość“, ogłosił adwokat dr. Srokowski broszurę, na którą warto zwrócić uwagę ze względu na aktualność tematu samego a przede wszystkim ze względu na nadzwyczaj interesujące, nowe i oryginalne ujęcie tego tematu. Autor, który bawił w Rosyi w chwili wybuchu rewolucyi oraz przewrotu bolszewickiego, doszedł na podstawie obserwacji wypadków współczesnych do przekonania, że fali dziejowej, że daleko idącej reformy ustroju społecznego nie da się powstrzymać. Omówiwszy w broszurze istotę „praw człowieka“, ogłoszonych przez wielką rewolucję francuską i wychodząc z założenia, że najskuteczniejszym lekarstwem na obecne stosunki jest bezwzględna sprawiedliwość, stwierdza, że jedyną przeszkodą wprowadzenia między ludźmi prawdziwej wolności i równości wszystkich jest dziedziczność prywatnych kapitałów i że tylko przez zupełne zniesienie prawa dziedziczenia można uzdrowić dzisiejsze chore społeczeństwo. W imię sprawiedliwości, w imię dobra ogółu, domaga się autor tej reformy. Doprowadzi ona, zdaniem autora, nie tylko do uzdrowienia stosunków społecznych w poszczególnych narodach i państwach, ale i do daleko idących zmian w stosunkach międzynarodowych, do zmian dla całej ludzkości pożądaných i korzystnych.

Tak mniej więcej przedstawia się treść broszury dra Srokowskiego w najogólniejszym zarysie. Mimo pozornego radykalizmu z jednej a utopijności proponowanych reform z drugiej strony, nie można ich stawiać na równi z nieszczęsnymi utopiami komunistów i bolszewików. Te ostatnie bowiem dążą do przewrotu rewolucyjnego, odrzucając drogę ewolucyi, a dalej niszczą całą przeszłość, niszczą zdobycze kultury, cywilizacji a nadto zacieraają indywidualizm jednostek. Przeciwnie dr. Srokowski pragnie uzyskać reformy w drodze ewolucyi, a wolność i inicjatywa poszczególnych jednostek nie ma ulegać żadnym ograniczeniom ze strony państwa. Również prawo własności, ograniczone przez programy socjalistyczne a zwłaszcza bolszewickie, pozostawia autor bro-

szury nietykalnem i nienaruszalnem, dążąc jedynie do zasadniczej zmiany sposobu nabycia tego prawa.

Daleka jest również autorowi wszelka nienawiść klasowa. Do pracy nad przeprowadzeniem reform, nad uzdrowieniem społeczeństwa i ludzkości, wzywa nie proletaryat jedynie, lecz cały naród i wszystkie jego klasy, bo o los i przyszłość wszystkich stanów i klas narodu chodzi.

Daleko idący idealizm i szlachetny optymizm wyróżnia pracę dr. Srokowskiego dodatnio od innych tego rodzaju elaboratów, jakie się w ostatnich czasach ukazały. Czyta się ją z dużym zainteresowaniem, a choć co do wielu punktów programu w niej zawartego można mieć poważne zastrzeżenia, przyznać należy, że praca dr. Srokowskiego owiana jest szczerem umiłowaniem tematu i sprawy, że przebiega z niej pragnienie ulżenia ciężkiej niedoli współczesnej ludzkości.

(ztr.)

Z teatru miejskiego.

(„Nieporozumienie“ — sztuka w 4 aktach Gabrieli Zapolskiej).

Rzeczy prawdziwego, wielkiego talentu, choćby powstałe dawno już temu, mają zawsze swą siłę atrakcyjną i wartość. Tak się też sprawa ma i z „Nieporozumieniem“, sztuką powstałą już dawno, jeszcze przed całym szeregiem tych kapitalnych utworów Zapolskiej, które rozstawiły jej imię w Polsce i zagranicą. Teza porównań w sztuce i obecnie jest żywotna; dziś jeszcze jest mnóstwo małżeństw takich jak Ryskiewiczza, odznaczających się na oko idealną harmonią, a będących prawdziwym piekłem, w zaduchu którego męczą się takie Jadwigi, które stać tylko na chwilowy płomień buntu, zgaszzone potem bezradnością życiową i perswazyami filisterek-matek, pragnących pozbyć się jak najprędzej córek.

Cały ten dom Ryskiewiczów i Antoniewskich jest prototypem państwa Dulskich, owej menażeryi dwunogów, których Zapolska potem tak świetnie sprezentowała. Nie oni jednak są osią sztuki, lecz Jadwiga, jej ból i codzienne poniżanie, które znosić będzie musiała do końca, bo nie ma siły zerwać narzuconych jej więzów małżeństwa i iść przebojem w życie.

Pomimo przydługich tyrad na temat życia i małżeństwa, oraz czasem rozwlekłej akcji, znać w „Nieporozumieniu“ lwi pazur świetnego talentu, ów kapitalny zmysł sceniczności sprawiający, że żadna postać nie jest zbyteczna, wszystkie żyją własnem życiem, nie mając nic wspólnego z papierowym szablonem. Drobiazgowość analizy psychologicznej święci tu prawdziwy tryumf. Z czasem psychologia ta nabierze w dziełach scenicznych Zapolskiej więcej artystycznego wykończenia i więcej jeszcze życia, jak się to stanie w „Pani Dulskiej“, „Skizie“, „Ich czworo“ i t. d.

„Nieporozumienie“ grane było na naszej scenie doskonale — gra wszystkich artystów zasługuje na uznanie i pochwałę. Szereg doskonałych typów stworzyli pp.: Rasiński (Ryskiewicz), Barwiński (Korski), Szobert (Szydełkiewicz), Chmieliński (Antoniewski) oraz panie: Barwińska (Jadwiga), Borkowska (Różia), Sieniawska (Antoniewska), Nahornówna (służąca) i Łozińska (Zosia).

Teatr był wysprzedany.

Turjan.

Teatr Wodewilowy.

Ruchliwa Dyrekcyja teatru wodewilowego dała nam ubiegłego tygodnia dwie nowości a mianowicie śliczną operetkę Jakóba Offenbacha „Wesele przy latarniach“ i wodewil „Nazajutrz po ślubie“.

„Wesele przy latarniach“ istne cacko muzyczne odegrano bez zarzutu. Kobięce role grały panie Dracowa, Iwińska i Krajewska, partję tenorową odśpiewał p. Wesołowski.

Pani Dracowa z dużym wdziękiem oddała postać naiwnego dziewczęcia, zakochanego w swym niczego się nie domyślającym opiekunie. Pan Wesołowski śpiewał i ruszał się dobrze, a role dwóch współzawodniczących ze sobą wdówek z temperamentem oddały panie Iwińska i Krajewska.

Pani Krajewska znana jest i słusznie kochana przez naszą publiczność, więc nie potrzebujemy się o niej szerzej rozpisywać. Pani Iwińska ukazała się po raz pierwszy naszej publiczności. Debiut jej należy pod każdym względem uważać jako udany. Aparycyja artystki jest ujmująca — głos, choć nie duży, lecz dźwięczny i dobrze postawiony, intonacyja czysta, a gra zdradza dobrą kulturę sceniczną — słowem, sądząc po tym pierwszym występie p. Iwińska może się stać dobrym nabytkiem dla sceny. — Orkiestra grała na ogół dobrze, choć miejscami zbyt głośno — nie licząc się dostatecznie z głosami solistów. W operetce a szczególnie w wodewilu, akompaniament powinien być bardzo dyskretny, gdyż inaczej tekst kupletów i piosenek przygłuszony zaciera się i ginie.

Wodewil „Nazajutrz po ślubie“ mocno pieprzny — może nawet i trochę niesmaczny odegrali panie Dracowa, Tatrzańska oraz pp. Ossoliński, Tatrzański i Wesołowski. Pani Dracowa ślicznie i z wdziękiem odegrała rolę młodzintkiej zawiedzionej mężatki, pan Ossoliński wlał dużo życia i humoru w postać rozczerzowanego ojca. Na pierwszy plan jednak wybili się oboje Tatrzańcy. Pan Tatrzański postać zblazowanego barona oddał z prawdziwie wykwintnym humorem, ustrzegłszy się szczęśliwie przeszarzowania, tak łatwego w tym wypadku. Osobna wzmianka należy się pani Helenie Tatrzańskiej. Artystka rusza się na scenie swobodnie i z prawdziwie kobiecym wdziękiem, głosik ma wprawdzie nie wielki, lecz nader miły i umie nim doskonale gospodarzyć, dykcję ma ładną i wyraźną i jak wszystko wskazuje może w przyszłości stać się pierwszorzędną siłą w operetce.

Jak się dowiadujemy na święta przygotowuje Dyrekcyja wyborowy program.

Wn.

Z sali koncertowej.

Staraniem Kasyna wojskowego i Komitetu, na czele którego stoi p. inspektorowa Frankowska, która nawiasem mówiąc jest duszą koncertów urządzanych w kasynie, odbył się w ubiegły piątek wieczór koncertowy, który pozostawił u publiczności nader miłe wspomnienie. W produkcjach wzięły udział panie Helena Moyseowiczowa śpiewaczka operowa, p. Kazimiera Jaworska-Bańkowska violonistka i pianistka p. Wanda Kowalska, oraz art. op. lwowskiej p. Mieczysław Zudar. Pani Moyseowiczowa odśpiewała pieśni Karłowicza, Niewiadomskiego, Wszelaczyńskiego oraz Aryę Donizettiego „Matka i dziecię“. Sopran p. Moyseowiczowej silny o nader rozległej skali, ślicznej barwie najlepiej wydał się w arii Donizettiego, w której artystka mogła rozwinąć całą jego siłę. P. Moyseowiczowa tak pod względem interpretacyi jak też intonacyi śpiewa bez zarzutu i dziwić się wypada, że taki pierwszorzędny głos nie daje się słyszeć z naszej sceny operowej.

P. Jaworowska-Bańkowska odegrała z dużym zrozumieniem Saint Sainsa Rondo Capriccioso, Mozarta Menuetta i Lalo Andante wykazując spory zasób techniki.

P. Mieczysław Zudar śpiewał pieśni Wysockiego Zofala oraz znaną Wagnerowską Aryę z Tanhäusera. Głos p. Zudara o lekko tenorowej barwie jest równy, ma dźwięk szlachetny oraz rozległą skalę a sposób śpiewania zdradza, że artysta przeszedł doskonałą szkołę. Interpretacyja tudzież frazowanie jest bez zarzutu. Akompaniowała p. Wanda Kowalska — jak zwykle niezrównanie. P. Kowalska w przedziwny sposób umie się dostroić do śpiewaka, względnie skrzypka a zarazem wydobyć z akompaniamentu wszystko możliwe. Rozporządza dużą techniką, uderzenie ma miękkie, chcielibyśmy więc kiedyś usłyszeć p. Kowalską nie tylko jako akompaniatorkę.

Program uzupełniła orkiestra 1 p. strzei. lwow. pod batutą p. kapelmistrza Osady. Odegrała poprawnie kilka utworów orkiestralnych.

Wn.

Kronika.

Z powo u Świąt Wielkanocnych Redakcyja „Placówek“ przesyła wszystkim swym współpracownikom, korespondentom, prenumeratorom i Czytelnikom serdeczne życzenia „Wesołego Alleluja!“

Śp. Jan Olechowski, por. W. P., zmarł w ubiegłym tygodniu w szpitalu na politechnice wskutek ran odniesionych przy próbie granatników. Zmarły oficer, który był komendantem oddziału technicznego, należał do najdzielniejszych i najzdolniejszych naszych oficerów, cieszył się też niekłamaną sympatją wśród przełożonych, kolegów i podwładnych. Ur. w 1890 r. w Nisku, po ukończeniu szkół średnich studiował inżynierię na lwowskiej politechnice, oddając się równocześnie z zapałem pracy organizacyjnej w tajnych związkach młodzieży. W czasie wojny walczył w legionach, następnie w wojsku austriackim na froncie włoskim, poświęcając się przedewszystkiem studjom teorii minierskiej, fabrykacyi bomb i granatów. Od wybuchu walk listopadowych brał żywy i czynny udział w odbiciu Lwowa. Siedzibą jego był Dom techników, gdzie naprawiał zepsutą broń, gdzie fabrykował granaty ręczne. Pamiętną zwłaszcza jest prowadzona przez niego wyprawa kanałem pod koszary Ferdynanda celem wysadzenia ich w powietrze, wyprawa, której opis pisał p. por. Olechowski, zamieszczał „Placówka“ w jednym z pierwszych swych numerów. Również wielkie zasługi położył śp. Olechowski w dniu 5. marca br., w czasie wybuchu amunicyi na dworcu Czerniowieckim; on kierował akcyą ratunkową i jego osobistemu męstwu i przytomności umysłu zawdzięczać należy, że katastrofa wówczas nie przybrała groźniejszych rozmiarów, że zdołano uratować pociągi amunicyjne i aprowizacyjne. Śmierć przedwczesna a tak tragiczna śp. Jana Olechowskiego stanowi ciężką, trudną do powetowania stratę. Cześć Jego pamięci!

S. p. por. Franciszek Koy. W krwawych zapasach z nawałą, grożąca zalewem wschodniego barbarzyństwa, padł w Pińsku jeden z dzielnych polskich oficerów. Por. Franciszek Koy, Karpateczyk, który przeszedł wszystkie ciężkie koleje Legionów Polskich na dalekich Kresach Rzeczypospolitej znalazł śmierć bohaterską, powiększył poczet tych, co niezłomnie stojąc pod sztandarem walki orężnej o wyzwolenie Ojczyzny życie młode złożyli na ołtarzu Świętej Sprawy. Miarą zasług bojowych por. Koya jest to, iż wśród gradu kul

od szlif zwykłego szeregowca dosłużył się szlif porucznikowskich.

Śp. Aleksander Pniewski. W Warszawie pogrzebano przed paru dniami zwłoki ś. p. Aleksandra Pniewskiego, który ranny w potyczce na froncie podlowskim, jako ppor. 8 pp., zmarł wnet potem w szpitalu przemyskim. Śp. Aleksander Pniewski, młodzieniec 22-letni, syn powstańca i syberyjczyka, a wnuk szwoleżera napoleońskiego, przyniósł we krwi na świat dwa uczucia: ukochanie ojczyzny i wojskowości. Padł jako rycerz, w obronie Polski ukochanej, pozostawiając po sobie żal szczery i współczucie dla tych, których osierocił.

Ś. p. Stanisław Komers. Sierżant W. P. Stanisław Komers, zecer z zawodu, metrampaż „Gazety Porannej“, padł niedawno w walkach o polskość Lwowa. Ś. p. Komers cieszył się w gronie kolegów ogólną sympatją, więc przedwczesna bohaterska jego śmierć wywołała szczere współczucie.

Szefem sztabu dywizji gen. Jędrzejewskiego został w miejsce majora Smolarskiego szef sztabu brygady lwowskiej major Ryłski, lwowianin, człowiek wybitnych zdolności i sprężystej ręki.

Wręczenie krzyżów Obrony Lwowa. W koszarach dywizyonu ułanów lwowskich odbyła się przed paru dniami uroczystość wręczenia krzyżów pamiątkowych uczestnikom walk listopadowych. Obecny był kom. brygady lwowskiej ppłk. Mączyński z szefem sztabu brygady rotm. Machalskim. Po przemówieniu do odznaczonych ppłk. Mączyński rozdał krzyże.

W sprawie jednolitego umundurowania W. P. Wydział Informacyjno-prasowy Ministerstwa Spraw Wojskowych komunikuje, że wobec niemożliwości, tak ze względu na brak materyałów i drożyznę, jakoteż wobec bliskiego powrotu wojsk generała Hallera, wprowadzenia na razie jednego jednolitego wzoru mundurów Wojska Polskiego, aż do czasu unormowania ogólnej sytuacji w kraju, nie są projektowane żadne zmiany w ubiorze wojskowym. Komisja Ubiorcza przy Ministerstwie Spraw Wojskowych, która pracuje już od końca grudnia r. z., przygotowuje jednak w dalszym ciągu szczegółowe projekty polskich wzorów ubioru wojskowego, które po uprzednim wypróbowaniu drogą doświadczalną, będą przedstawione do zatwierdzenia, a następnie gdy warunki będą po temu, wprowadzone zostaną, jako obowiązujące dla wszystkich bez wyjątku oddziałów W. P. W najbliższym zaś czasie Komisja ubiorcza zajmie się przejrzeniem i zestawieniem wszystkich ogłoszonych dotąd uzupełnień do obowiązujących dziś „Przepisów umundurowania“ z kwietnia r. 1917, po czem zestawienie to zostanie podane do wiadomości interesowanych w postaci rozkazu Ministerstwa spraw Wojskowych, regulującego ostatecznie sprawę przepisów obecnego tymczasowego ubioru wojskowego dla wszystkich broni i oddziałów.

Delegacja polska na kongresie pokojowym składa się z następujących osób: delegaci pełnomocni: Roman Dmowski i Ignacy Paderewski, którego zastępuje dr. Kazimierz Dłuski. Delegaci i doradcy techniczni reprezentacji polskiej: w kwestjach prasowych: dr. St. Kutrzeba; odpowiedzialności za wojnę: Konstanty Skirmunt, Leon Łubieński, Kazimierz Rybiński; pracy: St. Patek, J. Żółtowski; finansów: Z. Chamiec; odszkodowań: Wł. Grabski, K. Olszowski, Z. Chamiec; ekonomicznych i handlu: Andrzej Wierzbicki; dróg i komunikacji: K. Kasperski. Ekspenci techniczni: do spraw politycznych: J. Bartoszewicz, K. Downarowicz, E. Piltz, M. Rey, M. Seyda, W. Sobański, Wł. Tetmajer, St. Thugut, J. Wielowiejski, M. Zamoyski, G. Schürr; do spraw historycznych i prawnych: Fr. Pułaski, O. Halecki, Wł. Konopczyński, L. Nałęcz-Ostroróg, W. Sobieski, B. Winiarski; żegluga: pułk. J. Zwierkowski; ekonomicznych, przemysłowych,

finansowych i handlowych: A. ks. Lubomirski, Z. Natanson, M. Poznański, Z. Chrzanowski, St. Karłowski, St. Markowski, B. Herse, St. Laurysiewicz, W. Babiński, Fr. Bujak, J. Buzek, A. Doerman, A. Szczepański, H. Tenenbaum, G. Wertheim; geograficznych i etnograficznych: J. Czekanowski, K. Nitsch, E. Romer, J. Rozwadowski, A. Sujkowski; kierownik Biura prasowego: Ludwik Włodek; sekretaryat generalny: St. Kozieki, M. Sokolnicki, Z. Chamiec i J. Tomaszewski.

Wojsko polskie na Syberii. „Polak“ wychodzący w Paryżu donosi, że na Syberii jest jeszcze jedna polska dywizja całkowicie sformowana, mianowicie 5 dywizja W. P., którą dowodzi pułk. Rumsza. Składa się ona z pułków strzelców 16, 17 i 18, z 5 p. ułanów, 5 p. artylerii oraz batalionu artylerii, batalionu inżynierii, kompanii saperów, kompanii kolejowej, parku mostowego i parku technicznego. Ponadto ma dywizja swą służbę sanitarną oraz tabory i parki dywizyjne. Następna dywizja już się formuje. Jeden pułk pod dowództwem pułk. Bełdoka jest już gotów. Naczelne dowództwo mieści się w Nowo-Mikołajewsku.

Uwolnienie jeńców Polaków. Z Warszawy wyjechała pierwsza polska misja w celu uwolnienia i odesłania do ojczyzny jeńców Polaków, znajdujących się w obozach na terytoryach Jugosławii, państw Bałkańskich, Turcji i Turkestanu. Misji, składającej się z 20 osób, przewodniczy p. Strakacz. Druga podobna misja polska wyjedzie w tych dniach do Włoch, w celu uwolnienia przebywających tam jeńców narodowości polskiej.

Amerykanin o żołnierzu polskim. Specjalny korespondent „New York Herald’a“ pisze o walkach pod Lwowem: „Polacy mając siły o połowę mniejsze od Ukraińców, osiągają co najmniej takie same rezultaty, jak ich przeciwnicy, albowiem całe wojsko polskie, o ile można sądzić, ożywione jest nadzwyczajnie dobrym duchem. Zarówno oficerowie, jak i prości żołnierze okazują zapał i entuzjazm, jakiego każda armia mogłaby im pozazdrościć.

Męstwo i cierpliwość rannych godne są także podziwu. Pamiętam dobrze odwiedziny w dwu wielkich szpitalach wojskowych w Przemyśle. Wiatr mroźny ziębił wówczas do szpiku kości, a szpitale były przeważnie nieopalone. Prześcieradła i kołdry były tylko dla ciężko rannych, a pacjenci, których rany były niejednokrotnie zabandażowane tylko paskami papieru gazetowego, leżeli nie osłonięci albo okryci płaszczami, lecz nie skarżyli się ani słowem, ani wyrazem twarzy lub oczu.

Widziałem znaczną część żołnierzy rannych od kul karabinowych powyżej pasa, co świadczy, że armię polską charakteryzuje ta sama brawura w ataku, jaką odznaczały się najlepsze pułki francuskie, angielskie i amerykańskie, gdy w pierwszych tygodniach swojej bojowej praktyki szły szturmem, nie szukając osłon, na karabiny maszynowe niemieckie.

Oczywiście, tłumaczyć sobie to należy nadzwyczajną młodzieńczością polskiej armii. Zanim przyjechałem do Polski, myślałem, że niema na świecie bardziej chłopięcej armii, jak ta, którą Ameryka z początku przysłała na kontyngent. Obecnie jednak gorąco pragnąłbym, aby pod Buckingham Palace we Francji, lub na Champs Elysees w Anglii, mogła się odbyć parada jednego z pułków, złożonych z żołnierzy, walczących obecnie pod Lwowem. Widziałem na własne oczy idących na linię bojową, chłopców mało co wyższych od karabinu, którzy dźwigali i którzy żadną miarą nie mogli liczyć więcej niż 13 i 14 lat.

Żołnierze Polacy są najdzielniejszymi żołnierzami, jakich kiedykolwiek widziałem“ — kończy korespondent, który jak zaznacza, był na wszystkich frontach wojny obecnej.

Liczebność przyszłej armii angielskiej. W ostatniej swej mowie w Izbie gmin Churchill oświadczył, że rząd

angielski zamierza utrzymać armię w następującej sile liczebnej: załogi w Anglii 176.000 ludzi; załogi w Irlandyi 120.000 ludzi; armia nad Renem w Niemczech 264.000 ludzi; we Włoszech 10.000, na wschodzie i na Kaukazie 75.000, w Mezopotamii 20.000, w Indyach 60 do 70.000, w północnej Syberyi 20.000, w Egipcie i Palestynie około 60.000 ludzi.

Reorganizacja armii amerykańskiej. Wedle doniesienia „Tempsa“ ogłosił naczelnik amerykańskiego sztabu generalnego program reorganizacji armii amerykańskiej. Armia ta ma się składać w przyszłości z pół miliona ludzi (przed wojną 125.000) podzielonych na 5 korpusów i 21 dywizji, z których 20 dywizji obejmie piechotę a 1 jazdę. Każda dywizja piechoty składać się będzie ze sztabu dywizyjnego, 3 batalionów kulomistrów, 2 brygad piechoty po 2 pułki, 3 pułków artylerii polowej, pułku jazdy, pułku pionierów, batalionu technicznego, oddziału policji wojskowej — i trenu.

Konie dla wojska. Z ministerstwa spraw wojsk. donoszą: Odezwa Ministerstwa Spraw wojskowych, nawiązująca do zaspakajania potrzeb armii polskiej przez zaofiarowanie lub sprzedawanie koni, spotyka się z godnemi naśladownictwem przykładami dobrowolnych ofiar ze strony wielu ziemian. Co tem silniej należy podkreślić, że stan koni u nas wogóle przedstawia się opłakanie.

Następująca lista jest tego dowodem: pp. Józef Ostrowski z Paluszyna ofiarował 1 konia), Czesław Waliński z Góry (1 konia), Jan Siemiński z Sielnic (2 konie), Włodzimierz Karski z Nieznanic (2), Zygmunt Glinka z Nekarzewa (1), hr. Korsztynowa z Kwiliny (3), hr. Andrzej Lorsztyń (1), hr. Komorowski z Sićdlisk (1), Tadeusz Halpert z Szczekocin (1), hr. Henrykowska Potocka z Chrzastowa (3), hr. Marya Potocka z Piotrkowic w Miechowskim (1), Włoszczowskie Koło Ziemiaków (17) i Radomskie Koło Ziemiaków (7 koni). Razem 42 konie.



POLSKA POŻYCZKA PAŃSTWOWA MINISTERSTWO SKARBU

Urząd Pożyczek Państwowych i Skarbu Narodowego

MARSZAŁKOWSKA Nr. 154.

ogłasza niniejszem, że zapisy na Polską Pożyczkę Państwową 1918 roku przyjmują:

KASY URZĘDU,

**Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa, Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, Towarzystwo Kredytowe Miejskie, oraz wszystkie Banki Akeyjne i Domy Bankowe w swych Instytucjach Centralnych i Oddziałach, Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowe i inne Instytucje Drobnego Kredytu,
a także Kasy powiatowe i Poczty.**

Pożyczka 1918 r. w wykonaniu dekretu oraz uchwały Rady Ministrów z dnia 3. listopada 1918 r. została wypuszczona na warunkach następujących:

1) Krótkoterminowe zobowiązania skarbowe (asygnaty Polskiej Pożyczki Państwowej 1918 r.) zabezpieczają się całym majątkiem Państwa Polskiego i wszystkimi jego dochodami.

2) Asygnaty są wypuszczane w odcinkach po 100, 500, 1.000, 5.000, 10.000 marek polskich, koron w walucie austriackiej oraz rubli.

3) Asygnaty oprocentowane są w stosunku 5 proc. rocznie, przyczem procent jest wypłacany nabywcom za rok z góry przez potrącenie go z ceny sprzedażnej, z odpowiednim dyskontem w zależności od daty nabycia.

4) W dniu 1. listopada 1919 r. Skarb Polski wycofa asygnaty w drodze wykupu w walucie, w której asygnaty wydane zostały lub w razie przejścia Państwa Polskiego na nową walutę — w nowej walucie polskiej podług kursu, który obowiązywać będzie dla konwersyi wszelkich zobowiązań płatniczych.

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

Życzenia świąteczne.

Gdy na Wielkanoc rozzdzwonią się dzwony
a krew rozgrzeje ucziwa „jamajka“,
zechciejcie przyjąć zacne relutony
życzenia, z racyi święconego jajka!

A więc niech w wasze bezdenne żołądki,
wpadną jak w przepaść całe masy szynek
i inne świńskich zwierząt cenne szczątki,
podane rączką miluchnych dziewczynek.

A że umiecie dzielnie bronić szanów
i w mig zdobywać najsilniejsze forty,
niech wam los ześle setki przekładanów
a smak podnieca jak najśłodsze torty.

„Bab“ wam nie życzę, co nęca pięknością,
nie z nienawiści do tej miłej sfery,
ale dlatego, że już tak z pewnością
ma ich z was każdy, co najmniej po... cztery.

Zato wódeczka setno-procentowa,
niech wasze zaschłe odwilży gardziele,
lecz z tem ostrożnie, bo władza gotowa
nas jeszcze „przymknąć“ we Wielką Niedzielę.

Aby z was każdy miał trzy stare ciotki,
posiadające tę wielką zaletę,
że żyły by krótko, zgon miały słodki,
lecz zato pełną „mamony“ ... kaletę.

Niech nikt z was niezna smutku i niedoli,
a trud powiedzie do zwycięstwa znaków!
Niech każdy weźmie codzień do niewoli,
przynajmniej setkę podłych hajdamaków.

Te me życzenia relutonie drogi
przyjmij, — a dla mnie miej trochę litości, —
jeśli nie spełni ich los często srogi,
byś nie potamał przypadkiem mi ... kości!

Miłość a ... wojsko.

Że okrutne syny Marsa
leczą chętnie na romanse,
— to nie żadna licha farsa —
lecz wojenne ważne szanse!

Bo w miłości jak na wojnie,
strategicznych trzeba planów,
by z tryumfem i dostojnie
do zwycięskich wsiąść rydwanów.

A więc najpierw obserwacya
bardzo ścisła i ostrożna,
— jak wojskowa każe racya —
z niezem zdradzić się nie można.

Przyczem bardzo jest wskazanem
wysłać na patrole ... oczy
i podstępnie — chytrym planem
zbadać, o co bój się toczy.

Bo waleczność wnet odlata,
(i niejedna tak ochłódła)
jeśli wrogiem jest armata
stara — ot jak stare pudła.

Upewniwszy się dokładnie,
że wróg silny, warty grzechu,
można z nim rozpocząć snadnie
walkę, — ale bez pospiechu.

Więc gdy teren już zbadany
a wróg kryje się pod bokiem,
przygotować trza kołeczany
i nieznacznie strzelić ... okiem.

Można — gdy wróg kłęski bliski
— chociaż jeszcze się zasłania —
wciąż posyłać mu pociski,
by go zmusić do poddania.

Nie pomaga bombardacya
— a wróg z ręki się wyrzywa —
jest konieczną operacya,
co się zowie ... ofenzywa!

Ta — by dobrze się udała, —
trza wymacać, z której strony
wróg — co nienawością pała —
może zostać osaczony.

Przytem dodam całkiem szczerze:
nie jest rysem to ambicyi, —
gdy się ktoś do walki bierze,
mając mało amunicyi.

Z amunicyi bowiem braku
liczne kłęski się zdarzyły,

więc gdy idziesz do ataku,
musisz mieć poważne siły!

*

I pamiętaj o tem stale,
gdy chcesz z laurów zdobyć wieniec,
lub by przypaść ci w udziale
jaki sympatyczny ... jeniec.

*

Niechaj więc się nikt nie złości,
że w amorach żołnierz górą,
bo, by szczęście mieć w miłości,
trza wojakiem być ... nie ciurą!

Strasimenus.

Subskrybujcie 5% polską == pożyczkę państwową. ==

JASKÓLSKI STANISŁAW, jednorocznik XI. korpusu austriackiego, transportowany z Rosji do Serbii, pozostał w szpitalu Ujvidek, skąd 31. października 1918 zawiadomił, że wyzdrowiał i wyjechał do swego korpusu. Od tego czasu nie o nim wiadomo. Kto wie cośkolwiek o nim raczy zawiadomić rodziców Lwów, Obozowa 6. Inne pisma proszę o przedruk.

XVI. Lista ofiar

walk za czas od 21—26 stycznia 1919.

Objaśnienia: pp. pułk piechoty, k. kompania, km. karab. maszyn., lr. lekko ranny, er. ciężko ranny, ch. chory, z. zagniony, n. w niewoli.

Tades Teofil 2 p p 1 b †, Tamorak Maksymilian 3 p p k sztab ch, Tanczyn Wacław oddz wart ch, Targosz Jan 1 b 2 k z, Teller Kazimierz 1 p uł z, Terltowski Jan 1 b strz lw lr, Terlecki Adam 1 b warsz ods lw r, Thener Władysław sierż. 7 k 1 p strz r, Tkacz Władysław 1 p strz 5 k ch, Tuszczyk Michał sekc. oddz sztab ch, Tomaszewski Bronisław 2 p p 6 k ch, Tomaszewski Juliusz 4 p p 4 k ch, Tomaszewski Juliusz 2 p p km r, Tomaszewski Tadeusz b wart 2 b ch, Temczyszyn Tadeusz sekc. 10 p p r, Tomiczek Rudolf b ciesr r, Towarnicki Bronisław 1 p p r, Treber Aleksander 1 p uł er, Treła Ludwik b krak, Trościński Stanisław 1 b 2 p p 1 k ch, Trościanko Kazimierz arezt pol ch, Trukacz Stanisław 2 b warsz ods lw r, Trzeciński Edmund 36 p p 4 k ch, Trzciniński Stefan 1 k sap Trzciniński Stanisław 5 p leg †, Trzyżewski 4 p p uł 1 szw r, Tugendreich Bronisław sekc. 3 p p ch, Turek Jan b krak r, Turkiewicz Antoni 1 p art ch, Tuskiewicz Franciszek 3 k ch, Tuszewski Erazm 1 p uł r, Tuziak Wincenty 2 p strz 3 k r, Tycholec Franciszek arezt pol ch, Tyde Feliks ch, Tyma Jan 10 p p r.

Uchma Jan 1 p p 4 k †, Ulanowski Julian 4 p p 3 b ch, Urban Stanisław 8 p p 2 k ch, Urban Stanisław b krak r, Uraś Józef 2 p p 1 k ch.

Wagner Kazimierz 4 p p 1 k ch, Wakowski Stanisław 30 p p 2 b r, Walanek Jan b wadow r, Walatek Jan 2 p p r, Walczak Piotr 1 b strz km z, Walica Franciszek sekc. ch, Waligórski Kazimierz b olkusk †, Warachim Józef 2 p strz 1 k r, Warchała Jan 3 b strz 2 k ch, Warszawski Zygmunt 5 p p uł 2 szw, Warżman Daniel b strz 3 k ch, Wasilewicz 10 p p †,

Wasilkowski Jan 3 p p 1 k ch, Wasiuł Paweł b krak r, Wasniowski Józef 1 b strz 4 k z, Wasylewicz Stanisław 2 p p 9 k ch, Wesołowski Wacław 1 b strz 3 k z, Weich Adam 1 b 4 k ch, Weinraub Ignacy 1 p ciesr er, Weis Wiktor 10 p p 3 b er, Weisner Józef 1 p ciesr r, Wolenz Franciszek 1 b 2 k p p 1 k ch, Welser Franciszek 1 p p 7 k †, Wezeleczy Antoni 24 p p 7 k r, Werek Jerzy b ciesr r, Wereszyński Józef k sap r, Westfalewicz Maryan podch. 4 p art ch, Wędzielna Stanisław sekc. 2 p art r, Węglarz Rudolf 1 b 3 k z, Węgliński Juliusz 5 p p 9 k ch, Węglowski Roman 1 b strz 4 k z, Węrzowski Stanisław 30 p p 1 k r, Wiatrowski Józef 1 b 2 p p 2 k ch, Wieheć Roman 1 b strz 4 k z, Wielebek Józef 3 b strz 1 k ch, Wierzbicki Feliks 1 p p 5 k ch, Wierzbicki Stanisław 2 p strz 3 b r, Wiernik Stanisław 5 p p 1 k lr, Więch Jan poc panc ch, Więkowski Edward 1 b strz KM z, Więkowski Rudolf 1 p art ch, Wilk Franciszek 3 p p KKM ch, Wilkosz Wiesław 3 b strz ch, Wilusz Jan por 3 b †, Wimmer Franciszek 3 p p ch, Wincens Karol 3 b 2 k ch, Winclawski Kazimierz 5 p p 5 k r, Winiarek Mikołaj 2 p p KM ch, Winnicki Michał k etap ch, Winniczek Jan 1 p strz 2 b ch, Wiśniewski Karol 2 p p km ch, Wiśniewski Michał 1 p uł krech ch, Wiśniewski Stanisław 36 p p ch, Witkowski Michał b szurm ch, Witusik Jan 5 p p 7 k r, Władyka Władysław 3 b strz ch, Włodarczyk Jan 2 p p 12 k r, Włodarczyk Seweryn 2 p p 12 k r, Włodarski Antoni 32 p p 1 k ch, Wechowski Stanisław 3 p p 3 k ch, Wojciechowski Janusz 1 p uł r, Wojciechowski Michał 3 b strz r, Wójcik Jan 3 b strz r, Wójcik Maryan 4 p p 1 k ch, Wójcik Piotr 1 b strz 3 k z, Wójcik Stanisław b olkusk r, Wójcik Stanisław lr, Wójcik Tomasz oddz ods Lw ch, Wejda August 1 b strz z, Wojnarowski Jan 3 b 2 k ch, Wojtós Paweł 10 p p r, Wojtusik Jan 1 b strz KM z, Wolak Maryan p tarn ch, Wolańczyk Edmund ppor. 1 p strz ch, Wolański Kazimierz poc panc. ch, Wołoszczyk Józef b ciesr z, Wemko Szczepan 10 p p †, Wondraczek Karol p saper ch, Worek Jerzy 1 p p ciesr er, Woźniak Michał k etap ch, Woźniak Stanisław b radom r, Woźniak Stefan b radom r, Wownicki Kazimierz warsz k ods Lw r, Wróbel Jan 1 b strz 3 k z, Wróbel Władysław 3 p strz r, Wróblewski Stanisław 5 p p 7 k r, Wruniccki Michał k etap ch, Wrześniewski Szczepan 30 p p km ch, Wychopień Jan 30 p p k sztab r, Wygoda Jan 1 b strz 2 k z, Wisiadłowski Józef 24 p p r, Wyżniak Jan st. ż. 1 b strz z.

Vogelsang Oskar 1 k oddz warsz ods Lw ch.

Zabagło Michał 8 p p 3 k ch, Zborowski Aleksander 2 b ciech 7 k ch, Zachaczewski Tadeusz podch. 5 p p 1 k ch, Zadorożny Stanisław det rotm Abrahama ch, Zagórczak Antoni 2 p strz 2 b †, Zagószczak Edward 2 p strz lw †, Zajac Ludwik 4 p p 2 k ch, Zajac Władysław 2 p p r, Zajaczkowski Maryan 3 b strz ch, Zalewski Józef 10 p p 6 k 2 p lr, Zalewski Kazimierz ppor. 30 p p ch, Zalewski Julian mechan ch, Zaremba Józef 30 p p 3 b r, Zaremba Michał 1 b strz lr, Zarzycki Józef k Dębick r, Zacisk Stanisław 3 b strz 3 k ch, Zanon Franciszek 6 p p art 1 b ch, Zawadzki 10 p p 3 b r, Zawadzki Alojzy b ciesr z, Zawadzki Antoni b ciesr r, Zawadzki Franciszek 11 p art 1 b z, Zawadzki Jan szpit Tarnów ch, Zawadzki Oktawian 2 p strz k sztab ch, Zawojski Klemens 3 b strz r, Zbarański Jan sekc. dew żand ch, Zborowski Zygmunt 36 p p 1 k ch, Zborowski Feliks 1 b 2 p p ch, Zebiest Józef 1 b strz lw 2 k z, Zereffe Władysław 1 b strz 2 k z, Zermieński Witold 1 p uł krech ch, Zgieł Stanisław 36 p p k sap ch, Ziaja Stanisław k łańcucha ch, Ziajka Andrzej 3 b strz 1 k ch, Zieliński Józef 1 p art 2 k r, Zieliński Tadeusz b krak r, Ziemski Jan 3 b strz r, Zienkiewicz Zdzisław dew k robotn ch, Ziernicki Michał 4 p p 7 k ch, Zięba Stanisław p kolej 3 k ch, Zieber Jan oddz żand r, Zembek Bolesław sztab 26 p 1 k r, Zwierz Józef 1 p ziemi grodeck ch, Zych Jan b strz podhał ch, Zych Maryan 4 p p km ch, Zylka Józef 2 p p 2 b r, Zylka Stanisław 2 p p 5 k lr, Zyryusz Bronisław 10 p p r.

Zaba Piotr 10 p p 3 b lr, Żabicki Wiktor 6 p p ch, Żbikowski Bolesław 36 p p 3 k ch, Żebracki Reinhold 1 b strz krak lr, Żeburski Stanisław 1 p p 7 k †, Żołądek Władysław 1 b 4 k ch, Żołnierzyk Józef 3 b strz 1 k ch, Żmigrodzki August kap ch, Żmijowski Stanisław 2 p strz lw 3 b r, Żuk Stanisław cywil arezt pol ch, Żyrda Józef 1 p p 2 k 3 p lr.

Biuro prasowe uprasza osoby, które przybyły z tamtej strony frontu, lub jeńców, którzy wrócili z niewoli ukraińskiej o zgłaszanie się do naszego biura celem złożenia odpowiednich relacji, które leżą w interesie wojskowym i publicznym.

Honoraria autorskie niepodjęte do 6-ciu tygodni po okazaniu się z druku, przeznacza redakcja na fundusz inwalidów-obrońców Lwowa.